**Eduard Lapunow, Paweł Szumił**

KRÓTKIE LOTY STALSEY

Dodatkowy tom cyklu

SŁOWO O SMOKU

Tłumaczył z rosyjskiego

**Jacek Izworski**

Tytuł oryginału**:** КРАТКИЕ ПОЛЕТЫ СТЕЛСИ

**Lapunow**

**I**

Stalsey po raz kolejny wlazła na szafę, żeby z niej zeskoczyć, zagarniając ze wszystkich sił powietrze skrzydłami. Chwila lotu i uderzenie o podłogę. Cóż, biograwy są jeszcze za słabe, a skrzydła już nie mogą utrzymać szybko rosnącego ciała smoczki. Od uderzeń boli pupka, ale jakiś wewnętrzny instynkt pogania w górę, żeby znów doznać chwilowego uczucia lotu. To nieprzerwane w górę, w dół, w górę, w dół… Pod wieczór boli już nie tylko pupka, ale i całe ciało. Stara porolonowa mata, która kiedyś wydawała się gruba i miękka, utwardziła się i zupełnie nie amortyzuje uderzeń. Ale bez tych krótkich mgnień lotu życie było po prostu nie do zniesienia. Gdy lot skrzydłowy stał się niemożliwy, przez jakiś czas można było po wspięciu się jak najwyżej, skoczyć i zachwycać się kilkoma sekundami szybowania na szeroko rozpostartych błonach. Ale jej ciało zbyt szybko przybierało na wadze i teraz zostawało już tylko prawie pionowe spadanie. Mgnienie lotu i uderzenie o podłogę. Te codzienne skoki trzeba było skrupulatnie ukrywać przed rodzicami, żeby nie pomyśleli, że trzeba oddać smoczkę do inkubatora. Ów strach przed inkubatorami i przed śmiercią został jej po niezbyt udanych narodzinach. Ten upadek w bezdeń, w ciemność, w nieznane… Minęło wiele miesięcy, ale znakomita pamięć smoka zachowała te chwile wraz z uczuciem strachu nie do opisania. Ten strach pozostał w niej do dzisiaj i, splatając się z instynktami, kazał jej powtarzać jak rytuał codzienne manewry. W górę, w dół, w górę, w dół…

Musi być jakieś wyjście, ale jakie? Odpowiedź zdawała się być na czubku ogona, ale wciąż umykała rozkojarzonej uwadze Stalsey. Wielki Smok na pewno znalazłby odpowiedź, ale on chyba zajmuje się Planetą Dzieci, która jest jeszcze w budowie. Dobrze, że rodziców nie ma w domu całymi dniami, spokojnie zostawiają Stalsey samą, uważając, że smoczka jest już dostatecznie dorosła. Ale jak się zachowają, gdy zorientują się, że nastąpił ten okres tak zwanej młodości, oddzielający dorosłość od dzieciństwa, pomiędzy lotem na skrzydłach a lotem na biograwach z pomocą skrzydeł, kiedy latanie jest po prostu fizycznie niemożliwe? I znowu: w górę, w dół, w górę, w dół… Nie ma już sił, ale te piękne chwile, które daruje lot… Nie, nie oszukujmy się, to nie lot, to spadanie. Z każdym dniem ciało waży coraz więcej, trzeba zmniejszyć wysokość, tym samym skracając jeszcze bardziej drogocenne chwile lotu. Odpowiedź krąży dookoła czubka ogona, trzeba uchwycić ją za wszelką cenę. W komputerowej bazie danych, do której można się zwrócić przez okulary-komputer, jest olbrzymia ilość odpowiedzi na wszystkie pytania, ale na to akurat nie ma. Stalsey nieraz zdejmowała okulary, by jeszcze raz pokręcić zwojami swoich szesnastu półkul mózgowych, nie czując pokusy pogrzebania w jeszcze jednej sekcji niewyczerpanej bazy. Nie ma już sił na machanie skrzydłami, więc po prostu je wyprostowuje, żeby choć troszeczkę zmiękczyć uderzenie o podłogę. I znów skok w dół, i znów nieskończona droga w górę…

Myśleć, wykorzystując tylko własną wiedzę, nie posługując się okularami –to coś wspaniałego. Ale chciałoby się mieć nieco więcej życiowego doświadczenia, jak choćby mama. Może wtedy odpowiedź znalazłaby się szybciej? Chociaż nie, dorośli zbyt przywykli do takiego stanu rzeczy. Coś nowego może tu wymyśleć tylko młodzież i może jeszcze Znany Przodek. Ale on jest zajęty większymi, planetarnymi sprawami. Współtworzy Planetę Dzieci, a odpowiedź może być tuż pod nosem. Albo… na nosie?! Okulary są zdjęte, ale odpowiedź kręci się dookoła nich. Ale jak one mogą rozwiązać problem smoków, szczególnie takich jak Stalsey, które przez czterysta lat wkładano do inkubatorów zaraz po urodzeniu, a potem umieszczano w ich mózgach zapisy ludzkiej pamięci? Kolejna wspinaczka zakończona, i instynkt pcha w dół. Kolejne mgnienie poczucia lotu – i znów uderzenie o podłogę nieco przeczyszcza mózgi.

Smoczka ze złością spojrzała z ukosa na żółte butle akwalungu, widoczne w uchylonych drzwiach szafy. Pływanie w basenie nie daje poczucia lotu. Woda jest zbyt gęsta i oporna. I wirtualna rzeczywistość, dostarczana przez okulary albo senso, też nie jest do końca realna.

Stalsey spróbowała myśleć logicznie, systematycznie, jak ją uczono: „Dlaczego nie mogę latać w rzeczywistości wirtualnej, którą widzę w okularach? Bo okulary nie zmniejszają siły ciążenia, spychającej w dół moje coraz cięższe z każdym dniem ciało. W tej rzeczywistości mogę znaleźć się w niebie, lecąc z ogromną szybkością nad ziemią, ale bez poczucia lotu. To jest rzeczywistość dla oczu, ale nie dla skrzydeł. No, dla skrzydeł trochę też, ale to dalekie od prawdziwego przeżywania lotu. Czego ja więc chcę od rzeczywistości wirtualnej, od tych okularów? Chcę latać jak we śnie, z rozpostartymi skrzydłami, czującymi zagarniane fale powietrza każdą fałdką błonki, każdą łuseczką ciała. Chcę tych niezapomnianych dni lotu, które podarowało mi dzieciństwo, i które zostały już tylko w snach. Ale czy w okularach albo w senso można osiągnąć aż taką realność? A może odpowiedź na to najważniejsze pytanie ukrywa się gdzieś obok?”.

Trudno się myśli na siedząco. Myśli smoka lecą szybciej, kiedy on też leci. Smoki muszą latać. Więc znowu na szafę, i skok w dół, krótka chwila pseudolotu i znów to przeczucie odpowiedzi, którą trzeba tylko schwytać, zanim kolejny raz nie ucieknie zastąpiona przez ból uderzenia puchnącą pupką o podłogę. Gdzie trafiają sygnały od oczu? Oczywiście do mózgu, do wszystkich ośmiu sekcji. A uczucie lotu składa się w mózgu z sygnałów od oczu, skrzydeł, łusek na ciele – od wszystkich organów razem. Jak zrobić rzeczywistość wirtualną dla całego ciała? Trzeba dawać mózgowi potrzebne sygnały, nie niektóre, jak w senso, a absolutnie wszystkie. Dać sygnał wzrokowy, sformować obraz lecącego w niebie smoka i widok z jego oczu – to potrafią nawet okulary, ale da się chyba przekazać sygnały komunikujące o locie także z innych zakończeń nerwów, jak gdyby szły od skrzydeł, uszu, każdej łuski na ciele. Smok, który to poczuje, będzie oczywiście wiedział, że to oszustwo, ale uczucie lotu będzie zupełnie jak prawdziwe, dużo lepsze, niż to nieskończone „bum” na tyłeczek.

Ale taki smok, pogrążony w wirtualnym świecie lotu, na pewno będzie odruchowo machał skrzydłami i łapami, co może wywołać spore szkody w mieszkaniu. Jednak i tego da się ominąć. Jeśli już będzie można podawać sygnały bezpośrednio od nerwowych zakończeń, to i blokować sygnały, powodujące owe odruchy. Smok będzie spokojnie siedział z senso na oczach – i równocześnie latał z setkami swoich rodaków w nowej rzeczywistości wirtualnej. Godzina lotu dziennie w tej rzeczywistości powinna każdemu smoczkowi wystarczyć, żeby nie zwariował bez nieba i nie obijał sobie pupki.

„Trzeba podsunąć ten pomysł Wielkiemu Smokowi” – pomyślała Stalsey. – „On jest mądry, doświadczony, dużo lepiej ode mnie orientuje się w technicznych szczegółach okularów, które siedzą na nosie każdego smoka. A technologia jest już chyba dostatecznie rozwinięta, żeby to zrealizować. Może w hełmach senso po prostu brakuje jakiegoś drobiazgu?...”.

**II**

Stalsey leci wysoko w niebie, szeroko rozkładając skrzydła. Ach, jak to wspaniale latać! To uczucie z niczym nieporównywalne. Ziemia została daleko w dole, jej siła przyciągania nie ma władzy nad ciałem smoka. Przed nią tylko przestwór nieba i obłoki, ale lekki ruch skrzydłami – i już jest tuż nad obłokami. Jak przyjemnie lecieć prawie dotykając brzuszkiem obłoków! Nieco silniejszy wiatr pieszczotliwie kołysze uszkami, łaskocze nosek, faluje pod skrzydłami, jest odczuwalny każdą łuseczką ciała. Ogonek aż drży z emocji. Następny niewielki obłok, spotkany po drodze, smoczka rozcina po prostu na pół, nie przejmując się wilgocią, która zresztą zaraz wysycha. Ciało takie lekkie, prawie nieważkie…

Ale co to? Przed nią chmura i błyskawice. Tylko zamiast grzmotu jakiś dźwięk w uszach. A może to od grzmotu tak dzwoni? I dlaczego skrzydła nagle przestały słuchać, a ciało zrobiło się ciężkie? Ziemia tak szybko się zbliża. A wokół chmury, same chmury… Strasznie.

„Spadam, ale dlaczego?” – przeszło przez głowę Stalsey. Chce krzyknąć, wezwać pomocy, ale nie wychodzi. Skrzydła nie słuchają, ciało jak z ołowiu i ten nieprzerwany dźwięk...

Smoczka spazmatycznie westchnęła i otworzyła oczy. No tak, to był tylko sen. A obok stoi budzik i dzwoni. Rodziców, oczywiście, już nie ma, oni wychodzą bardzo wcześnie. I wychodząc, nigdy nie zapominają postawić na szafce tuż obok jej ucha budzik. Ten przeklęty starożytny budzik w odpornej na uderzenia obudowie! Ten przeklęty rozkład dnia! Po co wstawać, jeśli są wakacje, jeśli i tak nie ma się gdzie śpieszyć?

I budzik natychmiast leci w kąt, strącony ogonem. Stalsey jeszcze na chwilę zmrużyła oczy i nakryła się skrzydłem. Ach, gdybyż tak latać nie tylko we śnie!

A czy smoki, leżące w inkubatorach, widzą sny? Smoczką aż wstrząsnął dreszcz na myśl o inkubatorach. Cóż, jeszcze wcześnie, ale trzeba wstawać. Stalsey nigdy nie była śpiochem. Może była odrobinę tchórzem, ale na pewno nie śpiochem.

Skupiła się, podciągnęła pod siebie łapy, pozwoliła sobie poleżeć jeszcze kilka sekund przed ostatecznym przebudzeniem – i w następnej chwili potężnym odbiciem łap podrzuciła nad łoże jeszcze cięższe niż wczoraj ciało. Szeroko rozpostarte skrzydła, oczy wylizane językiem – i po śnie nie pozostało ani śladu. Jak już się budzić, to od razu na całego. I ranek kolejnego dnia oznacza, że o jedną noc bliżej jest dorosłe życie, kiedy można będzie latać przy pomocy biograwów. Ale słaba próba ich wykorzystania powiedziała smoczce, że ten dzień nadejdzie nieprędko, oj, nieprędko.

Pełna ponurych myśli, Stalsey szybko przygotowała sobie lekkie śniadanie i spożyła je zupełnie bez apetytu. Zjadła jeszcze trochę chipsów i ułożyła się w ulubionej pozycji na małej porolonowej macie pod szafą.

„Nawlokę sobie na ogon masę nieprzyjemności przez te skoki” – pomyślała. – „Rodzice i tak już wczoraj podejrzliwie patrzyli spode łba, gdy zobaczyli, że lekko utykam na tylną łapę po nieudanym lądowaniu przed samym ich przyjściem. No cóż, mogło być i gorzej. Przynajmniej o nic nie pytali, gdyż wtedy musiałabym opowiedzieć im całą prawdę”.

A przecież sny mogą podpowiedzieć rozwiązanie jakiegoś od dawna dręczącego problemu. W każdym razie o takim historycznym przypadku była wzmianka w bazie danych. Tylko że jej śni się nie odpowiedź, a same loty. A może to właśnie jest odpowiedź?

Nie – gwałtowny ruch ogona odrzucił tą myśl. To nie odpowiedź, tylko stale obecna chęć lotu, którą aktualnie można urzeczywistnić tylko we śnie. I te sny byłyby naprawdę piękne, gdyby nie kończyły się upadkiem.

„Te upadki prześladują mnie od urodzenia” – pomyślała z goryczą smoczka. – „A przecież wczoraj odpowiedź wydawała się prawie złapana. Zakomunikować Wielkiemu Smokowi o moim pomyśle dotyczącym nowego rodzaju rzeczywistości wirtualnej?”.

Pozornie prosta odpowiedź okazała się w rzeczywistości wcale nie taka łatwa. Zakomunikować Wielkiemu Smokowi? Ba, łatwo powiedzieć, ale jak się z nim połączyć? A nawet, jeśli go znajdzie, czy on jej wysłucha? Jakieś tam mętne fantazje młodziutkiej smoczki. A ile jest takiej młodzieży, która chciałaby osobiście spotkać się z największym ze smoków? Z pewnością milion albo nawet więcej. Nie chciało jej się grzebać w okularach, żeby znaleźć dokładną liczbę. I tak pozostawały dwa zadania, jak jej się wydawało, niemożliwe do rozwiązania.

Chwileczkę, po kolei. Najpierw pierwsze. Jak się połączyć? Wysłać wiadomość. Ale komu? Kim dla niej jest Wielki Smok? Dziadkiem? Pradziadkiem? Nie, raczej pra-pra-pra… W którym to pokoleniu ona jest jego wnuczką? Mama ma w okularach całe nasze drzewo genetyczne, ale w czym ono może jej pomóc? Właściwie w niczym. „W każdym razie do mamy okularów w razie potrzeby mogę wejść w każdej chwili” – pocieszyła się Stalsey. – „A czy można wejść do okularów Wielkiego Smoka?”.

Przy tej myśli aż zadrżała. Za takie coś nie pogłaskaliby jej po głowie. Machnięciem ogona odrzuciła ten pomysł

A może postawić sprawę inaczej? Jeśli ona nie może znaleźć Sławnego Przodka, to co trzeba zrobić, żeby on znalazł ją? Może zrobić coś oszałamiającego, wyróżniającego ją spomiędzy smoków, coś, czego nikt nie oczekiwałby od smoka? Ale zanim coś takiego wymyśli, będzie dziesięć razy starsza, a latać chce się już dzisiaj. Może po prostu się zgubić? Ale kimże ona jest, żeby na jej poszukiwania wyruszył sam Wielki Smok?

Wczoraj odpowiedź wydawała się zupełnie oczywista, a w przeczuciu lepszego dnia tak przyjemnie było zasypiać… Ale okazało się, iż odpowiedź zrodziła nowe nierozwiązalne problemy. No, może tylko pozornie nierozwiązalne, ale na razie rozwiązania nie widać.

Stalsey znowu spojrzała na swój ogon. Nie, kontemplacja własnego ogona ani trochę nie przybliży jej do celu.

Wzrok błądzi po szafie. Przypomniały jej się radosne mgnienia lotu, pozornie złapana za ogon odpowiedź – a także nadwichnięta łapka i poobijana pupka. Dzisiaj ciało wydawało się szczególnie ciężkie. Skakać z urwiska do morza nie jest może aż tak boleśnie, ale strasznie. Jednak tam lot trwa znacznie dłużej. I choć to też nie lot, tylko spadanie, na krótki czas ciało traci wagę. Pewnie takie samo uczucie przyjdzie, kiedy biograwy zaczną pracować z pełną siłą. A gdy stoisz na tylnych łapach nad urwiskiem z szeroko rozpostartymi skrzydłami i zamkniętymi oczami, wiaterek tak przyjemnie owiewa ci brzuszek, wydyma skrzydła… No cóż, plan na dzisiaj już jest gotowy.

Jeszcze jedna porcja chipsów wrzucona do pyska i połknięta. Kilka łyków soku jabłkowego. Jeśli zgłodnieje, zawsze zdąży wrócić, ale na wszelki wypadek lepiej włożyć do kieszonki na pasie kilka kanapek. A nuż się przydadzą? Tak wyekwipowana smoczka wyszła stanowczo z domu. Idąc po ulicy, starała się patrzeć tylko w dół. Po co patrzeć w górę, jeśli można tam zobaczyć tylko lecącego smoka i kuszące, ale niedostępne niebo, które jeszcze nieprędko podaruje jej ponowną radość lotu? Po co marzyć o tym i patrzeć na tych, którzy latają? Co może zmartwić ją teraz bardziej niż widok innego lecącego smoka?

No, wreszcie kabina zero-t. Stalsey wprowadziła dawno zapamiętany kod znajomej plaży. „Ach, gdybyż tak wiedzieć, koło którego zero-t jest teraz Wielki Smok” – przemknęło jej przez głowę. Ale świeży wiaterek przybrzeżnej przystani, który owiał ją zaraz po wyjściu z kabiny, kazał jej na chwilę zapomnieć o problemach. Jednak tylko na chwilę. Zmrużyła oczy, wykonała głęboki wdech i dźwięczny wydech, po czym padła brzuszkiem na piasek, wysuwając mordkę aż do krawędzi nadbiegających fal. Lepiej już spędzać dni na świeżym powietrzu pustej plaży niż w domu. Ale poza domem jej skoki może ktoś zobaczyć. Wprawdzie było to mało prawdopodobne, ale zawsze możliwe.

Smoczka otworzyła oczy, odsunęła się od wody o parę metrów i z obawą spojrzała z ukosa na wznoszącą się tuż obok brzegu skałę Smoki nie boją się spadać, gdyż umieją latać. Ale co z tymi smokami, które latać nie mogą? Jeśli smoka wsadzić do niesterownego statku i zrzucić z orbity na planetę… Ponura analogia. Czy Wielki Smok przestraszyłby się takiego upadku? Chyba jednak nie. Wielki Smok zawsze znajdzie wyjście, przecież jest najbardziej doświadczony i przeżył najwięcej ze wszystkich smoków.

Oczy się zamknęły.

„Albo dziś wstałam zbyt wcześnie, albo wczoraj położyłam się spać zbyt późno” – pomyślała Stalsey, zasypiając ukołysana cichym szmerem fal.

**III**

„A we śnie znowu latałam” – skonstatowała Stalsey, budząc się stopniowo. – „Ale co mnie obudziło? Jakby coś mnie lekko trąciło w nos. Ale tu chyba nikogo nie ma. O, znów coś mokrego dotknęło mego nosa”. Kichnęła i otworzyła oczy. Morski przybój napierał i ustępował.

„Och, mój ty Boże! Już przypływ! Ale sobie pospałam! Jeszcze trochę, a następna fala mogłaby zalać całą moją głowę! To znaczy, że wczoraj zmęczyłam się bardziej, niż sądziłam” – zrozumiała Stalsey i słodko się przeciągnęła. – „Ale jeśli nikogo nie ma, to nikt nie przeszkodzi mi w skakaniu ze skały. Gdyby rodzice się o tym dowiedzieli, byłoby ze mną źle”.

A łapki same niosą ją na niebezpieczną skałę. A ogonek drży i wciąż chce się przycisnąć do brzuszka – widocznie ma na ten temat swoje zdanie. Rozum gotów jest zgodzić się z ogonkiem, ale instynkt wręcz pcha ku górze.

Co tam za dźwięk z daleka, czyżby jej się wydawało? Nie, znowu. Ktoś tu naprawdę leci. Para smoków na flyerze. Przelecą obok czy nie? No, niechby przeleciały. Nie, lądują na jej ulubionym brzegu. Nawet nie para, a trójka. Czego one tu chcą? Flyer ląduje, wychodzą. Zupełnie obce, nie zwracają najmniejszej uwagi na Stalsey. Rozkładają piknik.

Czyżby taki piękny dzień miał być stracony dla skoków? „Skoczyć czy nie skoczyć – oto jest pytanie” – rozmyślała Stalsey siedząc na ogonie i oglądając jego koniec. Jej wzrok wciąż błądził między czubkiem ogona a przybyłymi turystami. A wierzchołek skały jest tuż obok, wabi, przyciąga obietnicą kilku sekund lotu.

„Jesteśmy tu zupełnie niezależnie od siebie. Nie będę mogła naskakać się do woli do późnego wieczora, gdyż to przyciągnie ich uwagę, ale parę skoków nie powinno ich zdziwić. Oj, po co ja się na nich tak gapię? Któryś z nich już się na mnie obejrzał. Jeśli już coś robisz, rób to celowo i zdecydowanie; wtedy nikt nie będzie podejrzewał, że coś tu jest nie tak. Mama mówiła, że jeśli smok tak właśnie coś robi, to znaczy, że tak trzeba. Ale czy to się odnosi i do smocząt? Trzeba zaraz stanowczo wstać, odwrócić się do nich plecami i równie stanowczo pójść w górę, na skałę. I najważniejsze, żeby ogon nie wydał prawdziwych uczuć” – rozmyślała Stalsey, wstając, odwracając się i idąc. – „Ogonku, co ty robisz pod brzuszkiem? Idź na miejsce, za plecy, gdzie powinien być ogonek odważnej smoczki. No, może nie aż tak odważnej, ale na taką trzeba przynajmniej wyglądać. Ogon za plecy, podnieś go jeszcze troszeczkę i idź na górę! No, teraz już chyba wyglądam na pewną siebie smoczkę”.

Szczyt skały. Wietrzyk od morza łagodnie pieści łuski. Na razie wszystko zgodnie z planem, i nie powinne mu przeszkodzić te trzy obce smoki, którym zachciało się urządzić piknik właśnie tu i teraz, na tym opuszczonym brzegu, który Stalsey uważała za swój. Chociaż w ich obecności tutaj nie ma nic dziwnego. Laguna jest piękna, zwłaszcza gdy patrzy się na nią ze skały. Z góry dobrze widać rozłożoną wygodnie trójkę. „Nic im do mnie, nawet nie patrzą w moją stronę, są zajęte sobą. A ja zajmę się tym, po co tu przyszłam” – pomyślała smoczka.

Stoi już na samej krawędzi, tak wysoko, że niebo zrobiło się jakby bliższe. Z dołu dochodzi szum przyboju, tam jest morze, a dookoła tylko niebo, takie zachwycające, tak wabiące, jakby mówiło: „Smoki są stworzone dla lotów i muszą latać”. Trzeba odbić się naprzód i do góry, to wyrzuci ciało jeszcze wyżej. Ostatnie przygotowania. Łapy napięte, gotowe jak sprężyny wyprostować się i podrzucić ciało. Odbić się jak najsilniej, tak jak co rano przy wstawaniu.

Gotowe! Wybić się jak najwyżej i w górnym punkcie rozłożyć skrzydła. To zwolni upadek i może nawet da się kawałek przelecieć lotem ślizgowym. Zamknąć oczy i wyobrazić sobie, że leci się wysoko w niebie. Znowu słodkie uczucie lotu. Tak by się leciało i leciało…

Ale to nie lot, to spadanie! Nie można dłużej zamykać oczu. Można bardzo mocno uderzyć brzuszkiem o wodę, co najmniej tak, jak o podłogę, przecież wysokość skały jest wcale niemała. Oczy niechętnie się otwierają. I oj! Woda jest już całkiem blisko, trzeba szybko się przekręcić, a ogonek już przylepił się do brzuszka. Stalsey natychmiast straciła równowagę i obróciło ją głową w dół. Złożyła instynktownie skrzydła i weszła do wody głową naprzód.

„Dobrze chociaż, że nie ogonem naprzód” – pomyślała, próbując dodać sobie otuchy i pracując szybko łapani, żeby jak najprędzej się wynurzyć. – „Uff, już powierzchnia! Ależ głęboko zanurkowałam!”. – Głośno wyparskała wodę, która dostała się jej do nosa. – „A ta trójka na brzegu patrzy na mnie uważnie. No chyba, takim skokiem zwrócisz uwagę każdego. Jak to wyglądało z boku? Na pewno bardzo zabawnie. Czy coś podejrzewają? Trzeba niczym nie zdradzać swoich uczuć. No, skoczyłam sobie i trochę się wykąpałam. Może w ogóle przyszłam tutaj, żeby się kąpać, a nie skakać? Ale z takim sąsiedztwem trzeba będzie chyba zadowolić się jednym skokiem. Nie trzeba zwracać na siebie zbędnej uwagi”.

Ostrożnie popłynęła na przeciwległy brzeg zatoki, jak najdalej od smoków i skały, wyszła na ląd, otrząsnęła się jak pies i położyła się na grzbiecie, wystawiając brzuszek na słońce. Niech brzuszek się nagrzeje, woda nie była zbyt ciepła. Nawet nieźle ją orzeźwiła, ale znowu uczucie lotu tak szybko i kontrastowo zamieniło się w podwodne pływanie… Serce smoczki całe uczucie wlewało w lot, lot, lot…

„Jeśli skoczyć z flyera, to wysokość będzie znacznie większa” – popłynął łańcuszek skojarzeń. – „Ale do tego potrzebny jest ktoś inny, żeby kierować flyerem, a coś mi podpowiada, że nie należy w te plany wtajemniczać nikogo. Może to zbędna ostrożność, ale niech tak na razie będzie. Wolę być sama, wolna i niezależna od nikogo”.

Ale jeden skok na cały dzień – to za mało. A Wielki Smok, jak mówiła mama, nigdy nie był małym smoczkiem. O Sławnym Przodku chodzi oczywiście wiele legend i historii, trzeba jednak uważnie śledzić, gdzie w nich jest prawda, gdzie upiększenie, a gdzie całkowite zmyślenie. Jeśli nie był małym smoczkiem, to znaczy, że nie doznawał tych wszystkich uczuć, towarzyszących dorastaniu smoka. Gdyby doznawał, być może teraz młodym smokom żyłoby się lepiej i inkubatory nie byłyby w ogóle potrzebne. On na pewno znajdzie odpowiedź, jeśli zada mu się prawidłowe pytanie. Ale żeby je zadać, trzeba najpierw go znaleźć.

„Wróciłam do punktu wyjścia” – pomyślała Stalsey. – „Trzeba znaleźć sposób na spotkanie się ze Sławnym Przodkiem. I muszę to zrobić sama, gdyż wtedy rezultat będzie zależał tylko ode mnie. Najprostszy sposób to wejść do kabiny zero-t, wybrać kod miejsca, gdzie on jest, wyjść i spotkać się z nim twarzą w twarz. Tylko że nie wiadomo, jaki kod wybrać. A gdyby tak wybierać wszystkie kody jeden po drugim? Ciekawe, czy ktoś policzył, ile już ustawiono zero-kabin? Jeśli wprowadzę kod nieistniejącej kabiny, z pewnością nic się nie stanie, więc chyba nic niebezpiecznego w tym nie ma. Ale ile czasu zajmie mi to przebieranie po kolei? A jeśli trafię na zepsutą kabinę przyjęcia, może być bardzo różnie. Choć prawdopodobieństwo trafienia na taką kabinę jest niewielkie, zachowanie ogonka daje mi do zrozumienia, że to jednak straszne. Mało to takich kabin pozostało na porzuconych bazach? A może te porzucone zero-t nie istnieją, może to tylko szczegóły upiększające legendy o czynach Sławnego Przodka? Żadnemu smokowi nie przyjdzie przecież do głowy wybieranie kodu nieznanego miejsca przeznaczenia. A jednak mi to do głowy przyszło… Mama mówi, że zbyt wiele myślę. Może i tak. Przypuśćmy, że gdzieś trafię, a jak się dowiedzieć, że Wielki Smok tam jest, przecież on może być niedaleko, zaraz za zakrętem? Gdy byłam mała, mama dużo opowiadała mi o nim i jego przygodach. Co z tych wspomnień może mi pomóc w poszukiwaniach?”.

Od tak długich rozmyślań zaczęło jej burczeć w brzuchu. Dobrze, że wzięła kanapki. Przetoczyła się z grzbietu na brzuch, podniosła się z piasku i wygodnie usiadła na ogonie. Obie kanapki po kolei wsadziła do pyska, zjadła z apetytem i znowu się zamyśliła.

„Czy wiem coś jeszcze, co mogłoby mi pomóc w poszukiwaniach? Ach tak, przypominam sobie! Wszystkie emocje Wielki Smok rzutuje na otoczenie i pewnie dlatego woli długotrwałą samotność. Jeśli się cieszy, wszyscy koło niego będą szczęśliwi, jeśli się smuci, będą przygnębieni. To znaczy, że muszę się tylko «wsłuchiwać» w swoje uczucia. Wybieram kod, wskakuję na nowe miejsce, wychodzę z kabiny i «słucham» uczuć. Jeśli nic nie poczuję, trzeba skakać dalej i dalej, aż poczuję. Wydaje mi się, że to prawie idealny plan, w każdym razie na pewno lepszy od jego całkowitego braku. Może później wymyślę coś lepszego”.

**IV**

Stalsey spojrzała z ukosa na trzy smoki po drugiej stronie zatoki, spędzające wesoło czas na brzegu i nie zwracające na nią uwagi, pomyślała, że tak jest nawet lepiej i powolutku skierowała się w kierunku pobliskiej komory zero-t. Rozejrzała się jeszcze raz, z westchnieniem weszła do kabiny i jej spojrzenie zatrzymało się na przyciskach sterowniczych. Co dalej?

Może wrócić do domu? Ale co ją tam czeka? Puste mieszkanie, szafa i ponure myśli, z którymi nie chce się pozostawać sam na sam. Niewesoła perspektywa praktycznie straconego dnia, który tak dobrze się zaczynał. Jednak jeszcze nie jest za późno, dzień się nie skończył i rodzice nie wrócili do domu, można więc jeszcze gdzieś się wybrać. Może lepiej nie odkładać na później pomysłów, które przyszły jej do głowy na brzegu i już zaraz spróbować szczęścia?

Pokrzepiona takimi myślami, Stalsey nawet nieco poweselała i zaczęła z jeszcze większą pasją ”badać” pulpit sterowniczy kabiny. Jaki wybrać kod, jeśli nie kod domu? Wybrać go na ślepo czy najpierw wypróbować kody znanych komór? A może mocno zmrużyć oczy, okręcić się dookoła ogona i zażyczyć sobie szczęścia? No to zaczynamy!...

Z warg wylatuje naprędce ułożony wierszyk:

Ogonku, ogonku drogi,

Bądź dla mnie dzisiaj tak słodki

I pomóż mi poznać kody

Mieszkania Sławnego Przodka.

Zamknąć oczy, jeden obrót, drugi obrót, teraz nacisnąć ogonem guzik… i hopla! Nie, ups. Ogon trafił nie w przycisk, tylko w ściankę. Stalsey otworzyła oczy. No tak, chybiła. Dobrze, nie wymądrzajmy się za długo, lepiej wybrać kod normalnie, bez zbędnego kręcenia się w zamkniętej przestrzeni. I lepiej z otwartymi oczami, bo może później zechce wrócić do miejsca, gdzie trafiła, a nie będzie znała jego kodu. Albo coś jej się przytrafi, a nie będzie wiedziała, gdzie jest. A tak, w ostateczności, zdoła przekazać: jestem tam a tam, kod taki a taki.

I szybko, póki nie ogarną ją wątpliwości, wybiera przypadkowy kod. Ogon mocno przyciska się do brzuszka. Mija sekunda, druga, trzecia. Nic się nie dzieje. Kabina taka sama, czy?...

Smoczka ostrożnie wyjrzała z zero-t. Brzeg, morze, skała i trzy smoki w oddali. Tak jest. Według wszelkiego prawdopodobieństwa został wybrany kod nieistniejącej komory i Stalsey pozostała tam, gdzie była. No cóż, negatywny rezultat to też rezultat, jak ktoś mówił.

I, podbudowana rodzącym się hazardem, smoczka znów zajmuje pozycję przed pulpitem. Znowu wybiera kod – i znowu nic się nie dzieje. Ogonek podryguje od narastającego napięcia. Paluszki wybierają kod za kodem. To zaczęło nawet przypominać jakąś grę: za którym razem zadziała zero-t?

I nagle… Kod nareszcie zadziałał! Żołądek podskoczył do gardła, oba serca jęknęły i zaczęły gwałtownie kołatać. Ogonek szybko zajął swoje zwykłe miejsce pod brzuszkiem. Przemieszczenie odbyło się jakoś nieoczekiwanie, ale inny kolor przyjmującej komory nie pozostawia najmniejszych wątpliwości, że naprawdę nastąpiło.

Stalsey ostrożnie wyjrzała z kabiny. Długie puste korytarze uchodziły daleko w obie strony. Wyglądało to na statek kosmiczny albo stację orbitalną. A gdyby komora otworzyła się w próżnię kosmiczną na uszkodzonym statku albo niedokończonej i z jakichś powodów porzuconej stacji? – przyszło jej nagle do głowy. Smoczkę ogarnęło spóźnione przerażenie, po jej grzbiecie przebiegł nieprzyjemny chłód. Ależ tu cisza, statek jest chyba absolutnie pusty. Stalsey cicho wyszła z kabiny. Jej myśli najpierw krążyły wokół najważniejszego pytania: co dalej?, a potem same z siebie ułożyły się w kolejny wierszyk:

Dzielny smok objął oczami swymi

Puste ładownie statku w niebie.

A statek patrzył z wyrzutem niemym

I wciąż uśmiechał się do siebie.

„I czemuż tonie przychodzą mi do głowy rymy do utworu «Odważna Stalsey» albo «Nieustraszona Stalsey»? Jak w ogóle może mi taki utwór przyjść do głowy, jeśli mój ogonek częściej woli przebywać pod brzuszkiem niż za grzbietem, jak u wszystkich normalnych smoków? No, więcej stanowczości, ramiona rozwarte, pierś naprzód, ogon do tyłu, pewny chód na twardych łapach! Jeśli kogoś spotkam, powiem, że przypadkowo wybrałam kod statku, co zresztą jest czystą prawdą. Ktoś kiedyś powiedział: «Przechytrz chytrego». Żebym tylko nie przechytrzyła samej siebie! Dobrze byłoby jeszcze mieć w zapasie zasadę «Przestrasz swój strach», czyli: bądź śmiały, nieustraszony i stanowczy”.

Ale najpierw trzeba się uspokoić.. Bo jak można szukać Wielkiego Smoka, przysłuchując się własnym i obcym uczuciom, jeśli przy każdym przemieszczeniu będzie cię ogarniał taki strach? Przecież uczucia, generowane przez Sławnego Przodka, każdy odczuwa jako własne…. „A może i ten strach nie jest mój własny, tylko generowany? Tutaj? Nonsens, zresztą to zbyt znajome, żeby nie było moje. Trzeba się uspokoić i być jak najspokojniejszym, bez względu na to, co się stanie. I dopiero wtedy plan będzie miał jakiekolwiek szanse powodzenia. Czyli trzeba się tutaj trochę przejść, żeby nieco przyjść do siebie – i szybko wrócić” – pomyślała Stalsey i ruszyła cicho korytarzem. W ciszy statku słyszała tylko własne kroki, odbijające się echem od ścian korytarza. Porzucona stacja? Stalsey szurnęła łapką. Podłoga czyściutka, ani ziarenka kurzu. Czyli wszystko zautomatyzowane. Nagle w nosie ją zakręciło i kichnęła, aż echo długo powtarzało „Aaapsik!”. Czyżby to znaczyło, że jednak jest tu kurz? Mijała jedne po drugich drzwi, ale nie interesowało ją, co za nimi jest i nie chciała się zgubić.

Strach powoli ustępował. Ta-ak… Jeszcze raz uważnie przysłuchała się własnym uczuciom. Czuła tylko głód, swój własny głód. Nie może dziś za bardzo pasjonować się poszukiwaniami, bo może spóźnić się na kolację. Żołądeczek też z niezadowoleniem przypomniał, że obiad składał się tylko z dwu kanapek. Następnym razem trzeba będzie wziąć ze sobą więcej.

„Ileż to ja już przeszłam?” – Stalsey rozejrzała się. – „Może lepiej zawrócić, bo coś ten korytarz ciągnie się bez końca. A co to jest tutaj na lewo? Charakterystyczne drzwi kabiny zero-t. Czyżby na statku były dwie kabiny? A może to ta sama?”.

Ostrożnie zajrzała do środka. Na podłodze trochę piasku. Pewnie na jej łapach zostało nieco piasku z plaży i część osypała się, gdy wychodziła z kabiny. Czyli to ta sama kabina, a ona chodziła w kółko po korytarzu opuszczonej stacji – bo już na pewno nie statku. Ale dość już tego, pora wracać do domu. Chodzenie w kółko, jak wiadomo, nie zbliża do celu – podobnie, jak studiowanie koniuszka własnego ogona.

Smoczka weszła do kabiny, ostatni raz spojrzała na pusty i cichy korytarz, po czym… Łapka na sekundę zamarła nad pulpitem sterowniczym. A nuż kod nie zadziała? Nie, musi zadziałać! Na stacjach kosmicznych cybery zawsze utrzymują zero-t w dobrym stanie. Muszą utrzymywać! Niedługo będę więc w domu. Głęboki wdech i wydech. Chwilowe zakłopotanie ustąpiło i kod kabiny koło domu został już wybrany zupełnie spokojnie.

**V**

Sen cichutko rozpuścił się w świetle poranka. „Oho, dziś udało mi się nawet obudzić przed budzikiem” – pomyślała Stalsey z uśmiechem. – Chociaż nie ma w tym nic dziwnego. Wczoraj specjalnie poszłam spać wcześniej, planując na dziś dużo prac poszukiwawczych. Ile – to zależy od powodzenia, co trochę mnie martwi. Przecież szczęście rzadko mi sprzyja nawet w grach. Ale może w życiu powiedzie mi się lepiej niż w grze? Przecież rezultat poszukiwań zależy głównie od mojego uporu i stanowczości. Trzeba najpierw dobrze odpocząć, wyspać się i przede wszystkim opracować jakiś efektywniejszy plan, żeby koniec poszukiwań nastąpił, zanim skrzydła i biograwy podniosą pierwszy raz moje dorosłe ciało. Wczorajszy lot na jakąś stację kosmiczną nie przybliżył mnie do celu. Nie udało mi się. Chociaż czy aż tak się nie udało? Na odwrót, udało się, gdyż nic niebezpiecznego się nie stało. Żeby tak na chybił trafił wybierać kody, trzeba mieć solidne wyposażenie, choćby skafander kosmiczny. To jednak wywoła zbędne podejrzenia, będę się więc musiała zadowolić pasem i okularami. Czyli: żadnego wybierania kodów na chybił trafił, bo to nie skończy się dobrze”.

Z kuchni dobiegł jakiś stłumiony szelest. No tak, obudziła się jeszcze przed wyjściem rodziców. Starają się nie hałasować, cichutko jedzą śniadanie. Niczym nie wydając swojego wcześniejszego przebudzenia, smoczka cierpliwie czekała, aż skończą i wyjdą. Nareszcie cichy szczęk drzwi powiedział jej, że została sama. Wyciągnęła łapkę w kierunku budzika, wysunęła pazurek i nacisnęła przycisk. Niech dzisiejszy ranek zacznie się bez dzwonka zwariowanej blaszanki. Zresztą po co taki głośny dzwonek? To pewnie ludzka spuścizna. Trzeba będzie zmienić schemat sygnału. Znacznie przyjemniej jest być obudzonym przez śpiew słowika. Ale to później. A teraz wstawanie i obfite śniadanie.

Stalsey nieco się podniosła, wygięła grzbiet, wyprostowała skrzydła, ziewnęła i słodko się przeciągnęła. W następnej chwili pędem na szafę – i skok. Nigdy nie machała skrzydłami z taką częstotliwością, jak dziś. Słaba próba pomocy biograwami. Podłoga nie kazała na siebie długo czekać, ale udało się wylądować na wszystkie cztery łapy. Smoczce wydawało się nawet, że utrzymała się w powietrzu nieco dłużej niż zwykle. Ale chyba tylko się wydało. Gdyby nie najadła się wieczorem po uszy, może rzeczywiście utrzymałaby się w powietrzu sekundę dłużej. Była jednak tak głodna, że nie mogła sobie odmówić. Chciałoby się cały dzień spędzić na skakaniu, ale dzisiaj potrzebuje sił na co innego. A jeśli się uda, osiągnięty cel podaruje jej prawdziwe poczucie lotu.

Teraz do kuchni, robić śniadanie. Parę komend cyberowi – i już przed nosem parują apetyczne kawałki mięsa. Połowa od razu znika w pysku, popita zimnym kompotem. A druga połowa, zawinięta w folię, wędruje do kieszonki na pasie. Na nos okulary-komputer. Ta-a-ak, ale w czym one mogą pomóc? Jak ograniczyć ilość adresów kabin zero-t do jakiejś możliwej do przyjęcia liczby? Może skakać tylko po tych, przy których widziano Sławnego Przodka? Zadajmy pytanie: gdzie widziano Wielkiego Smoka w ciągu ostatnich dwudziestu lat? Aha, i należy te widzenia uporządkować według dat. Lista już jest. Hm, niezbyt gęsto. Może należało zadać szerszy interwał poszukiwań, na przykład sto, albo jeszcze lepiej, dwieście lat?

Stalsey czekała na rezultaty poszukiwań. No, wreszcie lista gotowa. Pierwsze spojrzenie wtrąciło smoczkę w przygnębienie. Jednak Wielki Przodek nie jest częstym gościem hucznych kompanii. Zjawia się przeważnie tam, gdzie mają miejsce najpoważniejsze przypadki, z którymi inne smoki nie potrafią sobie poradzić, albo nadzwyczaj interesujące wydarzenia w rodzaju kontaktu cywilizacji. A gdyby tak odkryć nieznaną cywilizację? Nie wygłupiaj się, dziewczynko, to nawet nie jest zabawne. A może algorytm poszukiwań jest niezbyt właściwy? Może sam Wielki Smok postarał się utrudnić poszukiwania natrętnym młodym smoczkom? Mógłby to zrobić, ale czy zrobiłby? Raczej nie. Chociaż, kto go tam wie? Nie znamy myśli wielkich tego świata, jak ktoś kiedyś powiedział. Trzeba będzie zadowolić się tym, co jest. Spis wydarzeń i miejsc, gdzie one zachodziły, niewiele pomoże. Czy jest sens pojawiać się w tych miejscach? „Nie” – odpowiedziała sobie Stalsey. – „Jeśli sama nie jestem powodem tych wydarzeń, to raczej nie należy tam lecieć. Zagrożenie zażegnane, wszystko się ułożyło i Wielki Smok tam się już nie pojawi – do następnego wydarzenia. Może wyprawić się na wczorajszą stację kosmiczną i coś tam zepsuć? Oj, nie trzeba tego robić! Złapią mnie i ukarzą bez żadnej pomocy Wielkiego Smoka. Nie tylko nie osiągnę celu, lecz także nie będę mogła skrycie prowadzić dalszych poszukiwań. Kto będzie słuchał szkodzącej smoczki? Zostaje więc tylko przegląd przypadkowych miejsc oprócz właśnie tych, gdzie coś się działo”.

Nie zwlekając, wybiegła z domu i skierowała się do najbliższej komory zero-t. Natychmiast wskoczyła do środka i na sekundę znieruchomiała przed pulpitem sterowniczym, żeby jeszcze raz sprawdzić w okularach kod miejsca przeznaczenia – Planety Dzieci. Wybrała kod i…

Przemieszczenie nastąpiło. Wyskoczyła z kabiny i od razu wpadła bokiem na metalową ściankę naprzeciw. Żołądek podszedł do gardła, niedawno spożyte śniadanie omal nie wyleciało na zewnątrz. Nieważkość! Olbrzymia stacja orbitalna bez włączonej sztucznej grawitacji. Słychać jakieś skrzypy, szelesty, zgrzyty. Gdzieś w pobliżu wre praca. Skoro nie ma sztucznej grawitacji, to nie ma tu także nikogo ze smoków, tylko cybery, którym siła ciążenia nie jest potrzebna. One równie dobrze pracują przy pomocy manipulatorów magnetycznych, a z czymś ciężkim łatwiej poradzić sobie w nieważkości. Odbijając się tylnymi łapami od podłogi, Stalsey podleciała do najbliższego iluminatora. Akurat po korytarzu w przeciwnym kierunku śpieszył cyber. Sekundę później, nie zdążywszy nic zrobić, smoczka spadła na gładką metalową podłogę i do iluminatora podjechała już na brzuchu. No tak, tego należało oczekiwać. Pierwszy spotkany cyber, zobaczywszy na stacji smoka, wysłał raport do centralnego komputera, a ten, nie zwlekając, od razu włączył grawitację. Stalsey wstała z podłogi i dłuższą chwilę lubowała się majestatycznym widokiem powstającej planety. Praca wre, ale Wielkiego Smoka tutaj nie ma. Zresztą co miałby tu robić? Zaprogramował dane wyjściowe przyszłej planety, wydał komendę cyberom – i to wystarczy, resztę cybery wykonają same. Rozczarowana smoczka pomaszerowała z powrotem do zero-t.

Spojrzała na spis adresów w okularach. Następne miejsce, gdzie należy zajrzeć, to Sala Lotów na jednym z księżyców. Sala lotów młodych smoczków z naturalną niską grawitacją i podwyższonym ciśnieniem. Po przejściu przez śluzę od razu w uszach zabrzmiała radosna muzyka. Stalsey cicho weszła na jasno oświetlony plac i sto metrów przed sobą ujrzała kilka smoczków w jej wieku, z bardzo ponurymi mordkami. Wychowawczyni-smoczyca opowiadała im akurat o nowej zabawie, w którą można się bawić latając. Zwróciła uwagę na Stalsey, ale ta bez namysłu wzleciała, zanim zdążono zaprosić ją do grupy. Ostatnie miejsce, gdzie skrzydła jeszcze podnoszą ciało. Tak, tu także kiedyś przebywał Sławny Przodek, ale to było dawno, zapewne podczas otwarcia obiektu. Smoczka cicho poleciała na drugi koniec sali, pogrążony w wieczornym półmroku, przecinając sztuczny deszczyk tak, że krople spadały tylko na same koniuszki jej skrzydeł. Minęła parkę lecących tuż obok siebie smoczków, ale na ich mordkach też nie było radości lotu. No bo co to właściwie za lot? Coś pośredniego między pływaniem w wodzie a unoszeniem się w nieważkości. Prawdziwy lot to lot na skrzydłach przy 1g. Stalsey zobaczyła przed sobą nieco na lewo fontannę, Podświetlone reflektorami strugi wody dzięki niskiej grawitacji biły aż pod samą kopułę, mieniąc się wszystkimi kolorami tęczy. Skręciła ostro i kilkoma silnymi machnięciami skrzydeł obleciała fontannę tak, że zaledwie kilka kropel wody doleciało do jej brzuszka. Od razu przypomniała sobie loty we śnie, kiedy latała nad obłokami, dotykając ich brzuszkiem.

I już koniec sali. Dziesięć kilometrów – i już koniec. Stalsey obróciła się dookoła końca skrzydła, poleciała jeszcze dziesięć kilometrów z powrotem i wylądowała. Sławnego Przodka tu nie ma. Wzdłuż całej ściany ciągnęły się drzwi komór śluzowych, było ich chyba ze trzydzieści, więcej, niż smoczków w sali. Weszła do najbliższej. Spadek ciśnienia zatkał jej uszy. Miły głos z głośnika poradził jej przełknąć kilka razy ślinę albo wypić szklankę soku. Podniosła szklankę z tacki i wypiła sok, który okazał się smaczny, ale ciepły. Znowu weszła do kabiny zero-t i zajęła miejsce przed pulpitem.

Zaczęła monotonnie wybierać kod za kodem. Wyglądała na chwilę, wsłuchiwała się we własne uczucia i przeskakiwała dalej. Z rzadka przekaz był wstrzymywany na kilka sekund, gdyż trzeba było poczekać na zwolnienie komory odbiorczej, jeśli ktoś w niej był. Czasem łapała zdziwione spojrzenia znajdujących się obok kabiny smoków. No chyba! Z boku to rzeczywiście wygląda na pewno trochę dziwnie: otwiera się kabina, wygląda z niej mała smoczka z zakłopotaną mordką, rozgląda się, uważnie czegoś słucha – i czmycha z powrotem.

Uświadomiwszy to sobie, Stalsey zaśmiała się, ale po chwili pomyślała: „Spojrzą, zdziwią się, lecz nie będą do tego przywiązywali wagi. Jeżeli nikt nie prosi o pomoc, to znaczy, że wszystko w porządku. Moje krótkie wizyty nie zwracają aż takiej uwagi, żeby ktokolwiek odrywał się od poważniejszych spraw i zaczynał wyjaśniać, o co chodzi. Ale już kilka razy trafiłam na późną noc, kiedy wszyscy śpią – a co, jeśli Sławny Przodek też śpi? Wtedy go nie usłyszę i nie zdołam wyczuć. A może zdołam? Co poczuję, jeśli się znajdę obok śpiącego Wielkiego Smoka? Senność? A może to uczucie, które on odczuwa we śnie?”.

Kolejny kod. Na tablicy miga jakiś napis o kontroli technicznej. Zanim smoczka zdążyła go przeczytać, już przeskoczyła do miejsca przeznaczenia. Wyszła i rozejrzała się. Wokół ciemno choć oko wykoi, czuje się, że to jakieś zamknięte pomieszczenie, w każdym razie bez nieba nad głową. Światło na podłogę pada tylko z zero-t. Stalsey wydała komendę: „Cybery, zapalić światło!” – ale nic się nie stało, tylko echo długo powtarzało komendę w pustych korytarzach. Włączyła latarkę w okularach, nastawiła ją na rozsiane światło i poszła w dal korytarzem. Podłoga nie była może idealnie czysta, ale i nie pokryta warstwą kurzu po kolana. Korytarz wyprowadził smoczkę do ogromnej pustej sali. Zatrzymała się i echo jej kroków zamarło gdzieś wysoko pod sklepieniem. Dookoła ani żywej duszy, niezłe miejsce na odpoczynek i obiad z przyniesionego jedzenia. Przeszła przez salę, usiadła na ogonie pod przeciwną ścianą, wyjęła z kieszonek na pasie bryłki folii, rozwinęła je i włożyła do pyszczka kawałki apetycznie pachnącego mięsa. M-m-m, pyszne! Zmrużyła oczy i przeżuwała ze smakiem.

Najadła się i dopiero wtedy poczuła, że pół dnia krzątaniny i skoków z jednej kabiny do drugiej trochę ją zmęczyły. No cóż, można sobie pozwolić na pół godziny leżenia. Wyłączyła latarkę, położyła głowę na przednich łapach i z ciężkim westchnieniem zamknęła oczy.

**VI**

**S P O T K A N I E**

Brzęczek w okularach przypomniał Stalsey, że pół godziny już minęło. Ależ szybko przelatują te krótkie chwile spokoju! „Kiedyś może naprawdę polecę w niebie skrzydło w skrzydło z Wielkim Smokiem, a nie tylko w krótkich chwilach szybkiego snu” – pomyślała i niechętnie otworzyła oczy. Otaczała ją taka sama ciemność, jak poprzednio, cisza i spokój. Aż za cicho.

Jeszcze raz przysłuchała się swoim uczuciom. W nich też chyba nie ma żadnych niewyjaśnionych zewnętrznych emocji, ani radości, ani smutku. Aż zrobiło się jej od tego trochę przykro. Podniosła się, usiadła na ogonie i znów włączyła latarkę w okularach. Wewnętrzny głos podpowiedział jej, że jednak coś tu jest nie tak. Rozejrzała się. Kamienne ściany, kamienna podłoga. Żywe istoty, obojętnie smoki czy ludzie, są tu z pewnością rzadkimi gośćmi.

„Ile jeszcze kabin będę musiała przejść? I czy osiągnę cel, kiedy przejdę ostatnią?” – od takich myśli smoczka aż poczuła pewne przygnębienie. Wstała na cztery łapy i cicho powlokła się wzdłuż ściany. Ogonek wlókł się za nią. Korytarze, sale, korytarze, sale – wszystkie pogrążone w ciszy. W niektórych salach promień latarki z rzadka wychwytywał jakieś uchodzące wysoko ku górze kolumny albo narysowane na ścianach stare obrazy, szkice, diagramy. Stuk obu serc uszy odbierały jako głośniejszy niż echo ostrożnych kroków, towarzyszących samotnej przechadzce. Był to jednak stuk spokojny i równomierny.

Cisza obudziła wczesnodziecięce wspomnienia, z czasów, gdy była jeszcze malutką smoczką, Skrzydła szybko nosiły jej lekkie ciałko po całym domu. Czasem ostrym wirażem wpadała prosto w otwarte drzwi szafy, która wtedy wydawała się jej olbrzymią zagadkową konstrukcją, jak starożytne zamki ludzi, oglądane w okularach mamy. Kiedyś ułożyła nawet o tych zamkach wierszyk, który teraz sobie przypomniała:

Poopuszczane sale, korytarze

Cicho śpią w ciszy wspominanych zdarzeń

I nieba jasne, otwarte przestrzenie

Tylko się jawią im w sennych marzeniach.

A teraz te olbrzymie bezdźwięczne sale i puste korytarze budziły w niej podobne uczucia. Cisza, spokój i szelest wlokącego się za nią ogona.

Ogona? Stalsey zatrzymała się gwałtownie i obejrzała się na swój ogon. Tak, to rzeczywiście było dziwne. Nie odczuwała strachu, do którego przywykła, który jej nie opuszczał bez względu na to, co się działo. Ogon, który zwykle chował się pod brzuszkiem, nawet w bardziej normalnych warunkach, tym razem podążał spokojnie za swoją właścicielką. Brodzić po pustych, ciemnych korytarzach i olbrzymich salach i nie odczuwać najmniejszych oznak strachu! Nie bać się, że za najbliższym mrocznym zakrętem czeka niebezpieczeństwo, że w sąsiedniej bardzo wysokiej sali coś może spaść na głowę! Nawet próba postraszenia siebie zupełnie się nie udała.

Stalsey usiadła i w zamyśleniu zbadała koniuszek ogona, spokojnie leżący na podłodze.

„A może zrobiłam się dzielna?” – zaczęła się zastanawiać. –„Hm, a czy to tak bywa, żeby nagle od razu cały strach się wyłączył? Na pewno nie. Zresztą tak wałęsać się po korytarzach nie czując zagrożenia to już nie odwaga, tylko brawura. No, można uważać za śmiałego kogoś, kto boi się, a jednak coś robi. Ale teraz to właśnie jest dziwne, że strachu nie ma. Czuję tylko obecność spokoju i błogości, i to od samego początku mojego przebywania tutaj”. – Słaby domysł wypłynął i zaczął się przekształcać w rozkwitającą nadzieję. – „No jasne! Szukałam Wielkiego Smoka, oczekując, że poczuję odczuwaną przez niego radość, smutek, bądź inne niezwykłe dla mnie uczucie. A wyszło akurat na odwrót. Poczułam nie nowe uczucie, tylko brak starego, do którego byłam przyzwyczajona. Nie czuję strachu, mojego znajomego uczucia, i to w takim miejscu, gdzie w każdym innym czasie ogonek na pewno tkwiłby przyklejony do brzuszka. Ale nie czuję się też bardziej śmiała. A co czuję? Spokój. Jestem spokojna. Czy to znaczy, że Sławny Przodek może być gdzieś blisko? Chciałabym w to wierzyć, wszak wybierałam tylko te adresy, pod którymi często się pojawiał. Ale co on by robił w takim miejscu? To pewnie jedna z opuszczonych baz. Gdyby on tu był, byłoby tutaj przynajmniej światło. Czy to takie trudne wydać cyberowi polecenie naprawy uszkodzonego sprzętu? Ale cyberów też tu nie ma. Gdzie one się podziały? Pewnie były potrzebne w innym miejscu. Ktoś przyszedł, zakomenderował: «Hajda, wszystkie za mną» – no i nie ma ani jednego. To znaczy, że Wielkiego Smoka tu nie ma, ale jest gdzieś niedaleko, gdyż jego projekcja spokoju dochodzi tutaj. A gdzie ja właściwie jestem? Jeśli tu wszystko jest z kamienia, to baza pewnie została wyryta w skale. Czyli trzeba się wydostać na zewnątrz i rozejrzeć. Kilka korytarzy wcześniej była chyba sala z jakimiś schematami na ścianie. Może mi się uda znaleźć tam plan bazy. Jedno spojrzenie na niego – i powinnam bez większych problemów wyjść na zewnątrz”.

Stalsey odwróciła się i zdecydowanie ruszyła w przeciwnym kierunku. Nie był to już bezcelowy spacer z minimalnymi szansami powodzenia. Teraz pojawiła się nadzieja i szansa na dotarcie do celu nie kiedyś tam, a może jeszcze dzisiaj. No, wreszcie znalazła ową salę ze schematami. Pierwszy okazał się schematem jakiegoś generatora elektrycznego. Nie to! Drugim była instrukcja BHP. Znowu nie to, czego potrzebowała. Promień latarki miota się od jednego schematu do drugiego, od ściany do ściany. No, wreszcie to! Właśnie ten schemat, który może jej pomóc: plan ewakuacji. Droga do zero-t. Ta-a-ak, tą drogę już znamy, przyszliśmy stamtąd. A to wyjście na placyk dla śmigłowców, obok długa droga na dworzec metro. To też nam niepotrzebne. A tu jest wyjście na werandę. Innych dróg wyjścia nie ma.

Jeszcze jedno spojrzenie na plan – i Stalsey już zapamiętała wszystkie korytarze i zakręty, po czym pobiegła jak najszybciej korytarzem, prowadzącym na werandę. Gdy zaczęła rozróżniać mgliste światło, wyłączyła latarkę i pobiegła. Oto i wyjście. Wyskoczyła na werandę i…

Radosne podniecenie od razu zniknęło. Oczywiście rodzice też z łatwością opuszczają dom przez werandę, dla latających smoków to żaden problem. Ale ta weranda okazała się prawdziwym balkonem – nie najlepszym wyjściem dla nielatających smoczków. W dole u podnóża skały widać czerwoną willę. Może Wielki Smok jest akurat teraz w niej – tuż-tuż, a zarazem tak daleko? „Jeśli zeskoczę ze skały, to mogę tak się rozwalić, że żadna biowanna nie pomoże. Niezła przeszkoda, ale mnie nie zatrzyma. Jeśli nie mogę zlecieć na skrzydłach, to zlecę na śmigłowcu albo na flyerze” – pomyślała Stalsey.

Odtworzyła sobie w pamięci plan bazy, odwróciła się i pobiegła w kierunku lądowiska śmigłowców. Po drodze nagle przyszło jej do głowy, że przecież nigdy nie latała ani śmigłowcem ani flyerem, więc jak będzie nim kierowała? Uspokoiła się myślą, że to tak krótki odcinek, iż powinna jakoś sobie z tym poradzić.

Wpadła na lądowisko – a lądowisko puste! Ani jednego śmigłowca czy flyera. Zupełne nic, po prostu goły płaskowyż. Można zakładać klomby! „Nie będę musiała radzić sobie z żadnym kierowaniem” – gorzko uśmiechnęła się do siebie i powlokła się z powrotem na werandę.

Trzeba w jakiś sposób zejść z tej skały. Tylko jak to zrobić? Przynajmniej jedno cieszy: że dzień nie został stracony na próżno, że znalazła miejsce zamieszkania Wielkiego Smoka. Został tylko jeden maleńki szkopuł, tylko jedna trudność, ostatnia niepokonana rubież. Aż wstyd odstąpić przebiegłszy cały dystans i nie mogąc przeciąć linii mety tylko z powodu głębokiego rowu tuż przed finiszem. Oko widzi, a ząb nie może ugryźć.

To znaczy, że nie wolno się cofać! Trzeba tylko pokręcić zwojami mózgów i wymyślić sposób na osiągnięcie celu. Wielki Smok na jej miejscu na pewno by się nie cofnął! „Jeśli ja nie mogę zejść na dół, to może Sławny Przodek przyleci tutaj? Trzeba tylko trochę poczekać, aż zechce gdzieś się wybrać i postanowi posłużyć się zero-t. Ale ile przyjdzie mi czekać? Może nawet bardzo długo? Wielki Smok to znany samotnik, może pozostawać w domu całymi latami. To znaczy, że trzeba wymyślić coś innego. Muszę spróbować jakoś zejść albo zwrócić na siebie uwagę. Na przykład krzyknąć albo rozpalić dymne ognisko” – pomyślała Stalsey.

Nabrała pełną pierś zimnego górskiego powietrza i wrzasnęła jak mogła najgłośniej, aż echo długo błądziło między górami. Wysłuchała echa, po czym głęboko ni to westchnęła, ni to jęknęła i… Nie, Dzielna Stalsey i Odważna Stalsey nie zaczęłaby cichutko jęczeć. To jakoś niezręcznie zwracać uwagę krzykiem, zresztą chyba zbyt daleko; nie wiadomo, czy dźwięk głosu doleci. No więc ognisko?

Rozejrzała się. Dookoła tylko kamień. Nie ma co palić, zresztą nie byłoby czym rozpalić ogniska. Chciało się jej aż wyć do księżyca, który, mimo dnia, był widoczny. Może więc stoczyć na dół jakiś kamień? Tych powinno tu być pod dostatkiem.

Rozejrzała się dokładniej. Nie ma kamieni, tylko jednolita skała. Zresztą jeśli przyłapią ją na rzucaniu kamieni w dom Wielkiego Smoka, na pewno zrozumieją to nieprawidłowo. Bezpieczniej wyglądałoby ognisko, łatwiejsze do wytłumaczenia. A jeśli poszukać czegoś nadającego się do jej celów w składach? Przecież na bazie muszą być jakieś składy. Ale po pierwsze, trudno będzie się zorientować w składach bez cyberów a po drugie, składy prawdopodobnie są zamknięte wrotami śluzy, które bez prądu byłyby dla niej trudne do otwarcia.

Obmyślając plan dalszych działań Stalsey równocześnie jeszcze raz przeglądała plik, w którym zapisała swój pomysł nowej rzeczywistości wirtualnej. Przy spotkaniu przekaże ten plik. Oczywiście można byłoby wymyślić także inne sposoby przekazania informacji Wielkiemu Smokowi, ale kiedyż jeszcze znajdzie się ważny powóddo osobistego spotkania z nim? A takie spotkanie w pamięci każdego smoka z kilku ostatnich pokoleń zapisze się na całe życie.

**Szumił**

Ułożyła najprostszy plan na świecie: trzeba spuścić się w dół. Śmigłowców nie ma, więc musi to zrobić sama. Zbadała też wzrokiem zbocze powyżej, czy nie dałoby się wspiąć i obejść tą niedostępną ścianę. Może by się i dało, ale w górach jest zimno i łatwo zabłądzić. Lepiej znaleźć sznur i spuścić się po nim. Jak ludzie w tym starym sensofilmie. Mieli taką śmieszną nazwę, trochę jak ptaki: „alpiniści”. Papa mówił, że każdy smok już w jej wieku jest pięciokrotnie silniejszy od człowieka. Czyli plan gotowy: znaleźć sznur.

Odwróciła się i pobiegła z powrotem po nieskończonych korytarzach. Jej ogonek, początkowo dumnie wygięty w górę, stopniowo opuszczał się coraz niżej. Myślała może, że w pustym korytarzu na podłodze będzie leżał zwój sznura? Głupi pomysł! Cóż więc robić?

Obejrzała dokładnie ściany i sufit, kierując w górę promień latarki w okularach.

Przewód!

Na wysokości pięciu metrów po ścianie ciągnął się kabel, gruby i z pewnością mocny. Jeśli go oderwie, będzie miała sznur. A że coś zepsuje? Obowiązkowo trzeba będzie poprosić wujka Norda, żeby naprawił. Zrozumie, nie to, co ojciec.

Pobiegła wzdłuż kabla, patrząc, skąd i dokąd biegnie. Z jednej strony znika w dziurce w ścianie w pobliżu wyjścia, a z drugiej kończy się w wielkiej okrągłej sali gniazdkiem o dość niezwykłym kształcie.. Do gniazdka podłączono jakiś dziwny kanciasty przyrząd, z pewnością własnej roboty i zmontowany w pośpiechu. Zupełnie jak w warsztacie wujka Norda.

Stalsey wyrwała wtyczkę z gniazdka, podłożyła pod kabel pazury i oderwała go od ściany wraz z gniazdkiem. Klamry, którymi kabel był przymocowany do ściany, z łatwością odrywały się jedna po drugiej – wystarczyło tylko rozbiec się i mocno pociągnąć.

Smoczka wyciągnęła kabel na balkon i spuściła go przez poręcz w dół. Za krótki! Brakowało dziesięciu metrów, kończył się na wysokości wierzchołków pobliskich sosen. Wyciągnęła go na górę. Kontakt na końcu rozbił się i zaiskrzył. Ogonek sam z siebie znalazł się pod brzuszkiem. Przesunęła kabel po podłożu pod poręczą, zyskując dodatkowy metr. To tak, jakby skoczyła z wysokości dwu szaf. Bez maty i na kamienie – to akurat wystarczy, żeby połamać łapy. „A gdyby tak spuścić się, rozkołysać i przeskoczyć na sosnę?” – pomyślała. – „Ogonku, co ty o tym myślisz? Kiepski z ciebie doradca. Wyprostuj się natychmiast!”.

Zdecydowała się! Przelazła przez poręcz, przednimi łapami chwyciła przewód, tylnymi i ogonem oparła się o skałę – jak alpiniści w filmie. Pomyślała, że ma nawet łatwiej – oni nie mieli ogonów. Krok, jeszcze krok. To naprawdę nietrudne, tylko lepiej nie patrzeć w dół.

Prawie w połowie drogi poczuła nagle falę strachu. Nawet nie strachu, a śmiertelnego przerażenia. Palce jej osłabły i ześliznęła się w dół, nabierając szybkości. W następnej sekundzie jednak wczepiła się w kabel wszystkimi czterema łapami i znieruchomiała.

Za plecami usłyszała szum skrzydeł dorosłego smoka. Silne łapy złapały ją pod pachy. Strach znikł równie szybko, jak się pojawił.

– Puść linę, maluchu.

Posłusznie rozwarła palce. Kilka machnięć skrzydłami – i smok postawił ją na ganku willi..

– Oj, aleś mnie wystraszył, maluchu!

Stalsey nieco otartymi o kabel dłońmi wzięła się pod boki, po czym odwróciła się przodem do dorosłego smoka. Wyglądał na zaniepokojonego, zdziwionego, ale zupełnie nie rozgniewanego. Najdziwniejsze w nim było to, że nie miał na sobie okularów.

– Dzień dobry. To pan jest Wielkim Smokiem, nieprawdaż? Proszę, niech pan nie znika. Ja mam do pana bardzo-bardzo ważną sprawę.

**VII**

Czarek postawił młodego alpinistę na ganku.

– Oj, aleś mnie wystraszył, maluchu!

Smoczek uniósł się na tylne łapki, przednimi wziął się pod boki i odwrócił się ku niemu.

– Dzień dobry. To pan jest Wielkim Smokiem., nieprawdaż? Proszę, niech pan nie znika. Ja mam do pana bardzo-bardzo ważną sprawę.

– Pilną? – zapytał Czarek, przypatrując się uważnie maluchowi.

Wiek około pięciu lat, na mordce ma okulary i coś w tej mordce nieuchwytnie dziewczęcego. Może nosek nieco cieńszy, niż u chłopców, może kształtniejsze uszka?...

– Nie wiem. – Zmieszała się smoczka. - Przygotowałam panu plik. Proszę go przeczytać.

– Przeczytam obowiązkowo. Ale najpierw przeprowadzimy rozbiór lotów. Wiesz, że twój sznurek nie sięgał do ziemi?

– Wiem. Chciałam zejść najpierw po nim, a potem po sośnie.

– Ciekawe… – Zdziwił się Czarek. – To znaczy, nie brak rozsądku, tylko obmyślany plan. To zmienia postać rzeczy. A czemuż by nie zjechać windą?

– Nie mogłam....

– Winda się zepsuła? – zdziwił się Czarek.

– Nie wiem. Nie mogłam jej znaleźć. Na planie ewakuacyjnym jej nie było.

– Hm-m…A nie było ci strasznie spuszczać się po linie?

– Bardzo strasznie…

– Więc idziemy do domu. – Czarek był niezwykle zmieszany i chciał zyskać na czasie.

Zaprowadził smoczkę do swojego gabinetu, gdzie od razu włożył okulary, które wisiały na obudowie starego komputera, stojącego na biurku. Smoczka kręciła głową z zainteresowaniem. Czarek też obrzucił swój gabinet okiem obcego. Ta-ak… Przydałoby się tu zrobić generalne porządki. I łóżko w gabinecie też nie wygląda dobrze, zdradza próżniaka.

– Poznajmy się. Nazywam się Czarek. A ty?

– Stalsey… Może będę pana nazywała Wielkim Smokiem?

– Nie wolno! – kategorycznie zaprzeczył Czarek. –W ostateczności możesz nazywać mnie Komandorem. No, mów, jaką masz do mnie sprawę.

– Ja chcę latać – powiedziała szybko smoczka. – Proszę, niech pan lepiej zobaczy plik. Ja nie powiem tego tak składnie, jak tam napisałam.

Jakiś czas smok czytał plik, pewnie dwa albo trzy razy.Stalsey w wielkim napięciu wierciła się na krześle. Wreszcie przesunął okulary na czoło i powiedział:

– Nic nie rozumiem. Przecież myśmy montowali te gry jeszcze trzysta… nie, czterysta lat temu. Latałaś w nich?

– Tak – powiedziała nieśmiało smoczka.

– Latałaś w „Locie smoka”?

– Tak.

– A w „Wąwozie górskich duchów”? Tam są takie złożone, nieoczekiwane strumienie powietrza. Sam je programowałem.

– Wcześniej, gdy jeszcze mogłam latać, podobało mi się. A teraz – nie.

– Dziwne. – Zdumiał się Czarek. – Mnie do dziś się tam podoba. Zwłaszcza ten podlot do żółtej skały, pamiętasz? A w „Róży wiatrów”?

– Też latałam.

– I nie podobało ci się?

– Tam loty są nieprawdziwe.

– Jak to nieprawdziwe, jak to nieprawdziwe?! To ja tam latałem, a potem osobiście montowałem! Wszystkie moje dzieci, wnuki i prawnuki lubiły te latałki! Wiesz, ile ich było? – Smok aż zerwał się z miejsca i zaczął biegać po pokoju.

– Wiem. – Pociągnęła nosem Stalsey. Chciało jej się płakać. Smok – sam Wielki Smok – jej nie wierzy! Jej skrzydełka smętnie obwisły, a ogonek przylgnął mocno do brzuszka.

– Najpierw latały na moim karku, potem do wieczora kręciły wiraże w komputerze… A to co znowu? A to dopiero! Natychmiast przestań płakać! – zażądał Czarek, ale dopiero po tych słowach łzy z oczu smoczki polały się strumieniem. – Posłuchaj, Stalsey, ze łzami w oczach nie tworzy się nauki! – Wziął ją w łapy, polizał w nos i zaczął kołysać jakby miała rok. – Jesteś już dużą dziewczynką, prawda? Przyszłaś do mnie z ważną sprawą. A ważnych spraw nie załatwia się z mokrym nosem. Wiesz, co to jest naukowa metoda poznania świata?

– Nie – chlipnęła smoczka.

– Naukowa metoda poznania świata opiera się na eksperymencie! – zakomunikował autorytatywnie Wielki Smok. –Zaraz zrobimy eksperyment i zorientujemy się we wszystkich twoich kłopotach. Może masz po prostu gorszą kopię zapisu albo lekko uszkodzony hełm senso?

Leżeć w łapach Sławnego Przodka było tak przyjemnie i przytulnie. Przytulniej, niż u mamy, która wiecznie gdzieś się śpieszyła. Stalsey mimo woli pozazdrościła wszystkim wnukom i prawnukom Wielkiego Smoka. Ale niedługo zazdrościła, gdyż Czarek położył ją na swoim olbrzymim łożu, wyjął z szafy wielką szufladę i zaczął w niej zaciekle grzebać.

– Gdzie on jest? No, gdzież on się podział! – dobiegło z szuflady wraz z falą lekkiego rozdrażnienia. Po chwili smokowi zabrakło cierpliwości, wyjął całą szufladę i wysypał jej zawartość na łóżko. – Mam! – Wyciągnął radośnie z kupy gier, zabawek i łamigłówek zakurzoną i wymiętą czapeczkę dziecięcego hełmu sensowizora, po czym zakomenderował: – Próżniaku! Do mnie! – Z niszy w ścianie wybiegł mały, pękaty cyber domowy. Czarek wręczył mu hełm. – Wypierz to, wysusz i przetestuj. Jedna noga tu, druga tam. – Cyber odbiegł, Smok zawołał drugiego: – Leniuchu! Widzisz, nieporządek. Odkurz to wszystko i włóż na miejsce.

– Proszę mi powiedzieć, czy wszystkie cybery pan tak nazywa? – zapytała Stalsey, nabierając śmiałości. Smok po raz kolejny się zmieszał.

– No, jest jeszcze Niezdara, Wałkoń, Truteń, Fajtłapa, Obibok. Jaki gospodarz, takie cybery. Tylko nikomu nie mów, dobrze?

– Nie powiem. – Uśmiechnęła się Stalsey.

Wszystko odbywało się zupełnie inaczej, niż myślała. Prościej i… serdeczniej.

– Wiesz, o czym zapomnieliśmy? – Smok podrapał się w kark – Trzeba połączyć się z twoimi rodzicami i powiedzieć im, że się spóźnisz. Pamiętasz kod połączenia?

Stalsey podyktowała, tracąc całą odwagę. Komandor spuścił okulary na oczy i z wielką szybkością poklapał powiekami i pokręcił gałkami ocznymi.

– Dzień dobry – powiedział po kilku sekundach. – Mówi Wielki Smok. Nie bójcie się, nic złego się nie stało, po prostu wykorzystuję swoją pozycję służbową do celów prywatnych, stąd taki stopień pilności wezwania. Jesteście rodzicami Stalsey, o ile się nie mylę?... Nie, nic się nie stało, po prostu jest u mnie… Wróci na kolację… Jak to – już jedliście? – Komandor spojrzał na smoczkę z wyrzutem. – Nie martwcie się, na pewno ją nakarmię… Wczoraj też nie jadła kolacji?... Przeklęta różnica w czasie. Ale to się już więcej nie powtórzy… Nie, nie, żaden kłopot. Zaproponowała mi do zbadania naukowy temat… Z biologii. Szczegóły psychosomatyki młodego smoka… Jak to: nie orientuje się w biologii?... Tak, tak, trzeba więcej czasu poświęcać dziecku. Odprowadzę ją osobiście do domu… Do widzenia.

Skończywszy rozmowę, Komandor usiadł na ogonie przed Stalsey i zapytał:

– Czemu nie mówiłaś mi, że czas na kolację? Wiesz, co bywa z dziećmi, które mało jedzą?

– Nie – odrzekła Stalsey, nie wiedząc, czy ma się bać, czy nie. Ogonek na wszelko wypadek zajął swoją zwykłą pozycję.

– Dzieci, które mało jedzą, nie wyrosną na duże, a dopóki nie dorosną, nie będą mogły latać. Marsz do kuchni myć łapy! Jemy kolację, lecimy do twojego domu, a jutro zaczynamy badania. I żadnych wykrętów! Na głodnego nauki się nie tworzy.

Po odprowadzeniu smoczki do domu i upewnieniu się, iż dobrze zapisała w okularach jego kod łączności i adres domowego zero-t, Komandor wrócił do domu z mieszanymi uczuciami Zdjął okulary, włożył hełm sensowizora, usadowił się wygodnie na łóżku, podłączył się do komputera Jakiś czas leżał nieruchomo, potem jego ogon wyprężył się ku górze jak świeca, a łapy i skrzydła zaczęły podrygiwać.

– Dlaczego zła? Dobra latałka… – wymamrotał urażony. – Bardzo dobra latałka…

Do pokoju weszły dwie smoczyce: czarna i zielona.

– Kora, czy ty widzisz to samo, co ja? – zdumiała się czarna. –Ten obibok rozleniwił się do tego stopnia, że przeniósł łóżko do gabinetu.

Ogon Komandora akurat ze strachu przylgnął do materaca.

– Bardzo dobra latałka – powiedział Czarek, nie widząc i nie słysząc, co się wokół dzieje.

– Zdziecinniał – skomentowała Anna. – Nasz poraniony tak stuknął się w głowę, aż zdziecinniał.

Kora podeszła do komputera i zmniejszyła kontrastowość filmu. Komandor od razu się poruszył i zdjął z głowy hełm sensowizora.

– Przybyłyście akurat na kolację. – ucieszył się. Kora powęszyła i dokończyła za niego:

– Którą już zjadłeś – Usiadła na skraju łóżka. – Opowiadaj, co się tu stało. Dlaczego na bazie przewód jest oberwany ze ścian? Komu przeszkadzał twój ulubiony grawiglukator?

– Wiecie że smoczęta boją się inkubatorów? I nie podobają im się nasze latałki?

– Ja sama boję się inkubatorów. Ale po co oberwałeś przewód ze ścian? – Anna stanęła przed Komandorem na tylnych łapach, a przednimi podparła się w boki.

– To nie ja! Daję słowo honoru, że to nie ja! Jeśli chcesz, mogę pocałować krzyż!

– Pocałuj mnie pod ogonem! Kora, za co ja kocham tego lenia? Gadaj, co tu się działo?

– Poznałem młodą smoczkę. Nawiasem mówiąc, to urodzona skałołazka. Ma jednak poważne problemy z percepcją senso. Jutro będziemy je badali.

– Ile ona ma lat?

– Około pięciu.

– Kora, słyszysz? Za pięć lat będziemy mieli jeszcze jedną babę w haremie.

– No po coś ty tak? – oburzył się Komandor i wszyscy poczuli się nieswojo.

– Po to, że się w tobie zakocha i nie zdołasz jej odmówić! Ech, mnie by twoje problemy...

– Nieprzyjemności w pracy? – Domyślił się Komandor. – Pomóc?

– Same sobie poradzimy. Gdzie twoja kolacja? – Otrzymawszy odpowiedź, Anna wyszła.

– Znowu latałeś? – zapytała od razu po jej wyjściu Kora. – Znów naruszyłeś zakaz lekarza?

– Koruszko, tylko troszeczkę polatałem. I naprawdę ostrożnie.

– A jeśli szwy się rozejdą? Ratana zbierała ciebie dosłownie po kawałku.

– Nie wierz tej starej jędzy. To zwykła asekurantka. Od tego czasu minęło już trzy tygodnie. Zresztą sama pomyśl, kto lepiej się orientuje w smokach: lekarz pediatra czy twórca gatunku? Przecież ty mnie czujesz. No, sama powiedz, czy coś mnie boli?

– Dobrze, ale Annie ani mru-mru! Bo ciebie przywiąże do łóżka. I proszę cię, nie upieraj się chociaż przez tydzień

**Lapunow**

**VIII**

**ZE WSPOMNIEŃ STALSEY**

Lecę szybko i bardzo wysoko w czystym, bezobłocznym niebie. Daleko w dole pode mną przepływają głębokie lazurowe jeziora, zielone pola i łąki, bezkresne równiny, a potem pionowe skały i wysokie góry. Skrajem świadomości czuję, że to tylko sen, ale bardzo dobry i oby trwał jak najdłużej. Nie chciałabym, żeby taki cudowny lot został przerwany przez poranny dzwonek budzika. Nie trzeba o tym myśleć, bo inaczej sen odejdzie, a obudzić się zupełnie nie mam ochoty. Odrzucam więc wszelkie strachy i jeszcze głębiej pogrążam się w locie rozkoszując się każdą jego sekundą. Ale nie jestem sama w niebie. Tuż obok, prawie dotykając mojego skrzydła, leci sam Wielki Smok, olbrzymi i dobry.

– Ostrożnie, maluchu – mówi nieco skręcając szyję i wysyłając fale ciepła i spokoju, które otaczają mnie ze wszystkich stron. W następnej chwili leżę już na jego wielkich i delikatnych łapach, całkiem beztroska i wyluzowana.

Ziewam i otwieram oczy. Na moją mordkę padają z okna ciepłe poranne promienie słońca. Oj, nigdy jeszcze nie obudziłam się tak późno! Czyżbym tak mocno spała, że nie usłyszałam dzwonka budzika? Patrzę nieco z ukosa i widzę, że budzika nie ma. To dziwne, bardzo dziwne. Czyżby rodzice postanowili odstąpić od dawno wprowadzonego żelaznego rozkładu dnia? A może po prostu zapomnieli? Nie, to niemożliwe, żeby oni o czymś zapomnieli. Ale wczoraj wróciłam do domu za późno i w towarzystwie Sławnego Przodka.

– Miałaś dzisiaj długi dzionek, nieprawdaż? Kładź się spać, ty mała poszukiwaczko przygód – tylko tyle powiedział mi ojciec, kiedy wróciłam wieczorem.

Całkiem blisko słyszę ostrożny cichy oddech i czyjaś miękka łapa głaszcze moją głowę. Do moich uszu dochodzi łagodny, życzliwy głos mamy:

– Już się obudziłaś, córeczko? Dzień dobry, moja mała, odważna podróżniczko.

Mama została w domu? Dlaczego? Przecież to jasne jak słońce! Wczoraj wszystko się wydało. Spotkałam się z Wielkim Smokiem, a potem on porozmawiał z moimi rodzicami. Ależ ja się wtedy przejęłam! A o czym to on mówił? Radził poświęcać mi więcej uwagi. Pewnie to właśnie dlatego mama została. Podnoszę się cicho, siadam na ogonie i patrzę na nią. Spojrzenia się spotykają. Uśmiechnęła się i objęła mnie czule. To znaczy, że ona zupełnie się na mnie nie gniewa. Tak dawno nie siedziała koło mnie tak po prostu, nigdzie się nie śpiesząc…

– Chodźmy do kuchni, dzisiaj zrobiłam wyjątkowe śniadanie – cicho kontynuowała mama, głaszcząc mnie końcem skrzydła po głowie.

Wstałam i poszłam z nią, dotykając skrzydłem jej ciepłego boku. W duszy mi grało, byłam tak szczęśliwa, że chciało mi się biegać po domu aż do utraty tchu. Wydawało mi się, że na świecie nie ma nic niemożliwego. Dziś znów spotkam się z samym Sławnym Przodkiem! Ale zjawi się tu nie wcześniej, niż za godzinę, gdyż u niego dzień następuje później niż u nas. Nieznaczna różnica w czasie, przez którą przegapiłam kolację w domu. Mama na pewno się wczoraj denerwowała, gdy nie przybyłam na posiłek, łażąc akurat wtedy po skale. Słońce już zbliżało się do horyzontu, ale jeszcze nie było tak późno. Zupełnie zapomniałam, że to inna planeta i nawet nie spojrzałam na czas w okularach, zajęta kombinowaniem, jak zejść. Ale Wielki Smok nakarmił mnie pysznymi i samodzielnie przyrządzonymi daniami. Mniam-mniam, paluszki lizać! Omal nie poprosiłam go o dokładkę. Dotąd z trudem wierzę, że to nie był sen, że spotkaliśmy się twarzą w twarz, a nawet razem ucztowaliśmy. Zabronił mi nazywać siebie Wielkim Smokiem, ale tak nazywają go wszyscy moi znajomi rówieśnicy. Kazał nazywać siebie Komandorem. Tylko żeby nie zapomnieć o tym przy spotkaniu.

Jeszcze nie weszłam do kuchni, a już poczułam smakowite zapachy potraw. Od wczorajszej kolacji u Wiel… tfu, u Komandora, choć nieco krępowałam się z nim jeść, miałam znakomity apetyt. Mama też gotuje znakomicie, wiem, że ma w okularach całe mnóstwo najrozmaitszych przepisów kulinarnych. Przeglądałam je, ale z suchego spisu składników trudno było wywnioskować, jakie to może być smaczne. Teraz na stole parowało przepyszne śniadanie, wyglądające tak apetycznie, że żołądeczek gotów był wyskoczyć z ciała i pierwszy zasiąść do stołu. Czego tam nie było! Trzy znakomite dania oraz torcik w kształcie wieżyczki na deser. Przekąski, które sama sobie w pośpiechu przyrządzałam co rano, ani się do tego nie umywały.

Usiadłam przy stole i szybko spałaszowałam jedno danie po drugim, wylizując do czysta językiem każdy talerz. Mama w milczeniu siedziała naprzeciw, patrzyła na mnie i uśmiechała się w zamyśleniu. To był najwspanialszy ranek mojego życia. Ranek rodzącego się dnia i nadziei na loty. I moja najukochańsza mama, siedząca obok. Wydawało mi się, że jeszcze trochę, a uniosę się nad podłogą od przepełniających mnie uczuć. Byłam tak szczęśliwa, że nie mogłam tego wysłowić, więc po prostu siedziałam w milczeniu, pochłaniając kęs za kęsem.

Wreszcie wszystkie trzy dania znikły w głodnym żołądeczku. Aż się nieco wydął, ale zostało w nim jeszcze miejsce na tort, do którego cybery podały dwa duże kufle. Upiłam łyk i aż cmoknęłam i zmrużyłam oczy. To był mój ulubiony sok jagodowy! Mama podniosła drugi kufel i razem wypiłyśmy toast za silną i zgodną rodzinę. Cybery dawno sprzątnęły ostatnie okruszki, a my ciągle siedziałyśmy patrząc jedna na drugą oczami pełnymi miłości.

W końcu rozległ się dźwięk dzwonka w mamy okularach. Mama oderwała wzrok ode mnie, wyjęła okulary z kieszonki na pasie i włożyła je na nos.

– Witajcie – usłyszałam głos Sławnego Przodka. – Stalsey już się obudziła?... I, mam nadzieję, obficie pojadła... Zaraz u was będę.

Szybciutko włożyłam na nos swoje okulary i zajęłam wyczekującą pozycję przed drzwiami werandy. Ogonek z niecierpliwości aż merda z boku na bok. Niedługo, może nawet bardzo szybko spełnią się moje najskrytsze marzenia. Marzenia o locie. Przecież Wielki Smok nie cofnie się przed postawionym zadaniem! Smoki nigdy się nie cofają!

**Szumił**

**IX**

Nie minęły nawet trzy minuty, a już rozległo się uprzejme pukanie do drzwi.

– Proszę! – zawołała Stalsey podskakując wesoło.

Jednak oczywiście nie udało się od razu odejść z Komandorem, Matka musiała poczęstować go herbatą i omówić z nim przebieg budowy Planety Dzieci. Ale potem posadził Stalsey na swoim grzbiecie i jechała na nim do komory zero-t, a potem z bazy do wilii.

Ale akurat z willi wyszła ciemnozielona smoczyca i Komandor przestraszył się. Stalsey poczuła to bardzo wyraźnie, gdyż ta emocja była jej dobrze znana.

– Witaj, Ratana – powiedział Wielki Smok. – Bardzo dobrze, że ciebie spotkaliśmy.

– A, ogonek, ogonek! Ojej, aleś się przestraszył! – uśmiechnęła się Ratana. – Znów latałeś?

Stalsey poczuła wielki wstyd. Jednak szybko domyśliła się, że to nie ona się wstydzi, tylko Komandor. To było zadziwiające. Czarek dokonał prezentacji, a Ratana dodała:

– Jestem lekarzem dziecięcym. Dlatego boją się mnie wszystkie smoki, i małe, i duże. Mistrzu, jeśli poświęcisz mi dziesięć minut, może wypuszczę na wolność twoją grzeszną skórkę.

– Moja skórka wcale nie jest grzeszna – zakomunikował Komandor i spojrzał smutno na Stalsey. – No jak, znajdziemy dla doktora dziesięć minut?

– Znajdziemy – zgodziła się Stalsey, gdyż po prostu nie wiedziała, co innego może powiedzieć. Działo się tu coś dla niej zagadkowego i niezrozumiałego.

– Zaraz pójdziemy do centrum medycznego i zrobimy pełne badanie – powiedziała Ratana. Komandor przysiadł, chcąc wzlecieć, a Stalsey mocno zacisnęła łapy na jego barkach. – Pójdziemy piechotą – dodała surowo lekarka. Komandor ciężko westchnął i pokornie powlókł się za nią.

– Stalsey ma nieadekwatną reakcję na senso – wyjaśnił po drodze. – Chce latać, ale sensolatałki nie sprawiają jej żadnej przyjemności. Pewnie jakaś nowa mutacja…

– Te latałki nikomu nie sprawiają przyjemności – westchnęła Ratana.

– …więc problem rozdziela się na dwa: pomóc Stalsey i zlokalizować mutację… Coś ty powiedziała?!!! – Komandor aż zamarł wpół kroku z podniesioną łapą, a Stalsey przez inercję uderzyła się o jego szyję. Ratana obejrzała się na nich ze zdziwieniem i powtórzyła:

– Powiedziałam, że te latałki nikomu się nie podobają. Sam to wiesz, gdyż w przeciwnnym wypadku po co budowałbyś Planetę Dzieci? O mało tam głowy nie straciłeś.

– Jak to po co? Żeby dzieci nie były rachityczne. Żadne senso nie rozwinie im muskułów.

– Żadne senso nie zastąpi prawdziwego lotu. To wie każde dziecko.

– Jak to nie zastąpi? Sam wczoraj latałem całą godzinę w „Wąwozie górskich duchów”. Jeszcze jak zastąpi! Zresztą ty sama wtedy latałaś najpierw na moim grzbiecie, a potem do późnej nocy w senso. Nie można cię było oderwać od komputera.

– Tak, było coś takiego – przyznała Ratana po długim namyśle. – Daję słowo, było. Może to nie Stalsey ma mutację, tylko ja?

– Nie zmyślaj! Twój najstarszy syn też latał na mnie, a potem w senso. Wszystkie moje dzieci, wnuki i prawnuki latały przed snem. I wszystkim się podobało.

Stalsey dojechała na Wielkim Smoku do centrum medycznego. Tam spuścił ją delikatnie na podłogę, zdjął pas i okulary i położył się na szerokim ruchomym stole tomografu. Stół cicho zaszumiał i powoli przejechał pod metalowym łukiem.

– Pani Ratano, a po co myśmy tu przyszli? – zapytała Stalsey, nabierając odwagi.

– Mistrz ci nie opowiadał?

– Nie.

– Poranił się niedawno na budowie. Nie przestrzegał zasad bezpieczeństwa. Mistrzu, mówimy o tobie. Co należy zrobić na sygnał „trzy zera”?

– Natychmiast się ewakuować – zabuczał Komandor z niezadowoleniem.

– Wiesz, a sam zachowujesz się jak dziecko. Gdy na stacji rozległ się ten sygnał, wszyscy pobiegli do zero-t, a Mistrz – do sterówki. – wyjaśniła Ratana Stalsey. – No i trafił do mnie prawie pocięty na plasterki.

– Bo trzeba było dać nie ten sygnał, a zero-jeden-zero. Nie pełna ewakuacja, a „wyprowadzić stację ze strefy zagrożenia”. Zrobiłbym to spokojnie na pięciu g. A tak musiałem czekać na koniec ewakuacji i uciekać na dwudziestu pięciu g. Na tyle stacja nie była obliczona.

– I musieliśmy ciebie wycinać autogenem.

– Ale stacja ocalała. Remont trwał tylko tydzień.

– A nową budowano by trzy tygodnie.

– Za to Planeta Dzieci będzie gotowa o te dwa tygodnie szybciej.

– Niewielki zysk. Mistrzu, daj słowo, że następnym razem, kiedy usłyszysz sygnał „trzy zera”, pobiegniesz do najbliższego zero-t, a nie do sterówki.

– Daję! –ogłosił uroczyście Komandor, podnosząc prawą przednią łapę nad głowę.

– Nie dotrzymasz – westchnęła Ratana, głaszcząc Stalsey po głowie. – Nigdy nie wypełniał tego rozkazu – narzekała na Komandora, umocowując na jego ciele czujniki holograficznego USG. – Z jakiego powodu pozostałeś w naszym świecie?

– To nie ja, to Dżafar. I on zasnął wcześniej, nie wiedział – usprawiedliwiał się Smok.

– A na Kwampie?

– Na Kwampie mnie nie było. Przybyłem tam dopiero potem, jako ratownik.

– A podczas ekspedycji na Potworka? Sam wydałeś rozkaz „trzy zera”, i sam go naruszyłeś. Nie mówiąc już o przedostatnim razie.

Stalsey znów poczuła wielki wstyd. I uczucie, jakby coś ukrywała.

– Czujesz, Stalsey? – Ratana zwróciła się do niej. – To ta odwrotna strona bohaterstwa. Dokonujemy bohaterskich czynów, a potem skrzętnie je ukrywamy, gdyż one naruszają wszelkie instrukcje. A tym nie można się chwalić.

– Ratana, przecież ci mówiłem. W instrukcjach nie da się uwzględnić wszystkich przypadków życiowych. Czasem po prostu trzeba je naruszyć. A któż może lepiej wiedzieć, kiedy można je naruszyć, a kiedy nie, jak nie ja?

– I czemuż to?

– Bo mam najwięcej doświadczenia życiowego w znanym wszechświecie.

Stalsey z zachwytem kręciła głową, wodząc oczami od jednego smoka do drugiego. Komandor i Ratana przerzucali się argumentami, z których każdy wydawał się prawidłowy, przekonywujący i niezaprzeczalny. Ale zabrzmi kolejna fraza – i już wszystko się zmienia. Najważniejsze dla niej było jednak to, że włączyli ją do rozmowy jakby była dorosła.

– Praktycznie zdrowy – skonstatowała Ratana, gasząc ekran i zdejmując z Komandora girlandy czujników.

– I mogę latać? – zapytał z nadzieją Komandor.

– Możesz!

– Hurra-a-a!!! – Komandor chwycił Ratanę i podrzucił aż pod sam sufit.

Stalsey nawet nie przypuszczała, że smoki mogą być aż tak silne. A potem ona samą leżała na miejscu Komandora, z hełmem na głowie i girlandami czujników, przechodząc tomografię, USG, EEG, EKG, skanowanie pamięci, analizę genetyczną i wiele, wiele innych procedur medycznych. Komandor i Ratana cały czas rozmawiali o swoich sprawach i Komandor użył nieznanego jej słowa „skleroza”. Zapytała Ratanę o jego znaczenie i ta odpowiedziała:

– Nie zwracaj uwagi. Mistrz sto lat nie zajmował się medycyną i teraz sam sobie przygania.

– Obróć się na wznak! – zawołał od pulpitu Wielki Smok i Stalsey posłusznie się obróciła. Badanie okazało się długą i nudną procedurą. Wyobrażała je sobie zupełnie inaczej.

– No, wstępna informacja zebrana – powiedział wreszcie Komandor. – Zdejmuj te wszystkie brzękadła i idziemy na obiad. – Ratana pomogła Stalsey uwolnić się od czujników, zwinęła przewody i wszyscy troje poszli.

Komandor zaprosił ich do jadalni w bazie. Baza wyglądała zupełnie inaczej niż wczoraj: Korytarze jasno oświetlone, wszystko błyszczy, ani ziarenka kurzu, oderwany przez Stalsey kabel na miejscu i pomalowany na kolor ściany. Stół już był nakryty, w powietrzu czuć było smakowite zapachy. Ratana aż się oblizała. Podczas posiłku Stalsey zaczęła:

– A powiedzcie, kiedy…

– Patrzcie ją, jaka szybka! – przerwał Komandor z pełną gębą. – Szybko tylko karaluchy się mnożą.

– Mistrzu! – zawołała Ratana.

– Zawsze mówiłem: praca naukowa wymaga cierpliwości i żmudnego ślęczenia! Najpierw skończymy jeść, potem polatamy, a jutro będziemy kontynuowali.

Stalsey nie od razu zorientowała się, że to siodło. Dopiero, kiedy Komandor położył je sobie na grzbiecie i, odwróciwszy szyję o 180 stopni oraz wykręciwszy przednie łapy za plecy, zaczął przeplatać rzemienie przez… sześć dziurek w błonkach skrzydeł, po trzy w każdej, tuż przy ciele. Żeby nie zarastały, wszyto w nie krążki z miękkiej masy plastycznej.

– Oj! – Stalsey aż się przeraziła. – A czy te dziurki zrobił pan specjalnie dla siodła?

– Co? Nie, to było o wiele wcześniej. Raz tak fatalnie upadłem, że zerwałem całą błonkę. Musiałem zrobić sobie skrzydło z brezentu, czyli takiej grubej i bardzo mocnej tkaniny. Wtedy zrobiłem sobie te dziurki, a potem okazało się, że w kosmosie bardzo wygodnie mieć skrzydła z dziurkami, gdyż można łatwo przypinać różne kontenery z aparaturą. Ówczesne skafandry to było kompletne barachło… A siodło – to dużo później. Też wygodnie! Wsiadaj!

Stalsey wlazła, a Komandor poinstruował ją, jak zapiąć pasy bezpieczeństwa. A potem polecieli, i to jak!!! Komandor igrał w niebie jak delfin w morzu. Stalsey aż krzyczała z zachwytu! Przewroty, martwe pętle, beczki, immelmany… Zwykły korkociąg, korkociąg ogonem naprzód, liść klonowy na biograwach! Wielki Smok wykonywał takie figury, o jakich Stalsey nawet nie słyszała. W końcu zmęczył się i wylądował przed willą. Odpiął siodło i włożył je na grzbiet Stalsey. Spod siodła sterczały tylko pyszczek i ogonek smoczki.

– Nieś do domu. Taka tradycja.

Plątając się w rzemykach oraz przytrzymując siodło przednimi łapami i skrzydłami, Stalsey zaniosła je do domu i położyła we wskazanym miejscu. Ciągle jeszcze była pod wrażeniem lotu. Więcej, teraz WIEDZIAŁA, czym jest lot na biograwach – przecież czuła to samo, co Wielki Smok. To było wspaniałe: dowiedzieć się już teraz, co ją czeka za trzy lata. Nowa, z niczym nieporównywalna rozkosz: lot na biograwach, kiedy można latać w przód, w tył, bokiem, obracając się dookoła własnej osi… Okazuje się, że to trudne, ale możliwe!

– A teraz głowa w hełm – zarządził Smok. – Sprawdzimy, jak ci się spodobają moje latałki.

Gdy senso się skończyło, z oczu smoczki polały się łzy wielkości ziarnka grochu.

– A to dopiero! – zdumiał się Komandor. – Co, aż tak źle?

W tym momencie otworzyły się drzwi i do pokoju weszła żywiołowa czarna smoczyca.

– Aha, tu jesteście! Mistrzu, zaznajom nas. Co ja widzę? Doprowadziłeś małą do łez! Nie płacz, maleńka, my mu zaraz zrobimy lewatywę! A ty, zielone cudo, po coś ją obraził?

– Anulko, daję słowo, ja sam nie rozumiem… Ani snem, ani duchem…

– Ten krokodyl nilowy sam nie wie! – Anna podniosła Stalsey, usiadła na ogonie i zaczęła ją pocieszać, kołysząc delikatnie jak niemowlę.

– Anulko, posłuchaj, my tu pracujemy naukowo…

– Mam ci połamać rogi?!

Komandor cofnął się o parę metrów. Stalsey wyraźnie poczuła jego zmieszanie i obrazę.

– Lady Anno, nie trzeba mu łamać rogów – pisnęła Stalsey. – On mnie nie obraził.

– Więc dlaczego płaczesz?

– Bo latałam w „Wąwozie górskich duchów”. I mi się podobało…

– Gdzie jest ten wąwóz?

– Chwileczkę, Anno, nie marudź. „Wąwóz” to senso-latałka.

– Rozumiem. Trzymaj. – Anna przełożyła Stalsey w łapy Komandora. – Jedliście obiad?

– Nie zbaczaj z tematu. Robimy analizę lotów. Stalsey, naprawdę ci się podobało?

– Tak.

– A wcześniej latałaś – i nie podobało ci się?

– Tak. Dwa razy.

– Ta-ak… Yhm… Jasne… Rozumiem! Albo-albo! Jedno z czterech! A dlaczego płakałaś?

– Bo pomyślałam, że teraz mi nie uwierzycie.

– Nie śpiesz się z wnioskami, malutka. Najpierw niech Mistrz wyliczy wszystkie możliwości. – Wmieszała się Anna. Komandor liznął ją w nos i zaczął zaginać palce.

– Pierwsza: zapis niskiej jakości. Druga: aparatura odtwarzająca niskiej jakości

– Aha! – wtrąciła Anna. – Znajoma śpiewka: „W naszych czasach to dopiero robili!”.

– Trzecia: efekt wizyty. – Smok spojrzał surowo na Annę. – Czwarta: nieznany nauce casus.

– Casus to znaczy przypadek – przetłumaczyła smoczce Anna. – Od niego zaczynaj.

– Nie, zaczniemy od pierwszego. Najłatwiej sprawdzić. – Komandor przekonywująco podniósł palec wskazujący. – Stalsey, zaraz ci przepiszę swój wariant latałki, a ty sprawdzisz ją w domu. Jutro będziemy kontynuowali. – Postawił Stalsey na podłodze, wyjął z komputera blok pamięci i podał jej. – Ciocia Anna odprowadzi cię do domu, a ja odświeżę sobie w pamięci teorię senso. – skłamał. Wiedział oczywiście, co to jest senso, ale nigdy nie studiował teorii.

**Lapunow**

**X**

Stalsey szła, trzymając w wyciągniętej łapce blok pamięci z zapisaną latałką.

– No, mała, pokaż mi, gdzie mieszkasz – powiedziała Anna, wchodząc do kabiny zero-t. – I włóż ten blok do kieszonki, on ci nigdzie nie ucieknie.

Stalsey włożyła, po cym wskoczyła do kabiny i jej maleńkie paluszki szybko przebiegły po pulpicie sterowniczym, wybierając kod kabiny w pobliżu domu. Potem pobiegła w podskokach do domu, a za nią dostojnie szła Anna.

– Mamo, tato, zaraz będę w domu, i to nie sama – szepnęła Stalsey, łącząc się z rodzicami.

Na progu już czekała na nie z uśmiechem zielona smoczyca, matka Stalsey.

– Lady Anno, jestem zaszczycona pani wizytą w naszym domu – powitała ją krótko.

– Lady Selino, ja też cieszę się ze spotkania z rodzicami tej natrętnej małej. – Głowy smoczyc lekko pochyliły się w geście powitania. Podszedł jeszcze jeden duży zielony smok.

– Rad jestem powitać lady Annę. Pozwoli pani, że się przedstawię, jestem Berd, ojciec tej wiercipięty – Anna skinęła mu lekko – Znowu kogoś odrywa od ważniejszych spraw?

– Nie, coście wy, macie wspaniałą córeczkę. Natarczywość jest cechą wszystkich smoków, nie można robić o nią wyrzutów dzieciom. – Anna lekko dotknęła skrzydłem głowy Stalsey.

– Selineczko, co tak trzymasz gościa na progu? Proszę wejść do domu. – Berd rozpływał się w uprzejmościach.

Stalsey wreszcie udało się przeskoczyć między wielkimi ciałami rodziców. Nie zwlekając podbiegła do komputera, po drodze wyjmując z kieszonki blok pamięci. Ale tu nagle zrobiła się „mała” przeszkoda. Zakłopotana smoczka obracała w łapkach blok, zastanawiając się, jak by go tu podłączyć. Po dziesięciu minutach zrozumiała, że sama sobie z tym nie poradzi. Była zmuszona poprosić o pomoc ojca lub stryjka Norda.

Przemknęła się cicho do salonu. Mama, jak zwykle, coś pichciła w kuchni, a ojciec rozmawiał z lady Anną, pełniąc funkcję usłużnego gospodarza.

– Szkoda, że nie ma tu mojego brata Norda, on ucieszyłby się ze spotkania nie mniej ode mnie – mówiąc co, ojciec obracał oczami, próbując połączyć się z Nordem.

– Będzie jeszcze czas na spotkanie – spokojnie odpowiedziała Anna, wodząc oczami po dość skromnie wyposażonym mieszkaniu rodziny biosferników.

– Papo, ja nie dam rady – ostrożnie wtrąciła szeptem Stalsey, podając mu blok pamięci.

– O-o-o.. No tak, oczywiście. – Uśmiechnęła się Anna. – Mistrz, jak zwykle, „trochę” nie nadąża za postępem.

– Co takiego? – zdziwił się Berd.

– Mistrz ma bardzo przestarzały komputer. Wiekami nic nie wymienia, przywiązuje się do tych kawałków metalu jak do dzieci. Gdyby Berta czasami nie przywoziła czegoś nowego, nie rozstawałby się chyba w ogóle ze starym żelastwem, Nasze domowe cybery też są już bezwartościowe. Jeśli któryś się zepsuje, inny smok dawno wziąłby nowego, a Mistrz nie. Całymi dniami dłubie w nich, naprawia… Nigdy się nie zmieni. To jego druga natura: przywykł wszystko robić własnymi siłami. – Berd skinął głową ze zrozumieniem i wziął z łap Stalsey malutki bok pamięci. Anna kontynuowała: – No cóż, cieszę się, że was poznałam, może jeszcze kiedyś się zobaczymy, a teraz muszę już iść.

– Nawet nie zje pani z nami kolacji? – zapytała z wyrzutem Selina, wychodząc z kuchni.

– Może następnym razem, a teraz proszę mi wybaczyć, mam swoje sprawy. – Anna odwróciła się i skierowała się do wyjścia. Berd uśmiechnął się do jej czarnych pleców:

– Zawsze będziemy radzi widzieć panią u nas.

Gdy tylko drzwi za Anną się zamknęły, Selina, widząc coś w łapach Berda, zapytała:

– I cóż to takiego nasza mała wiercipięta ze skrzydełkami dzisiaj nam przyniosła?

– Co to jest? – zwrócił się ojciec do Stalsey.

– Latałka. Wielki Smok mi ją dziś zapisał na swoim komputerze. – Stalsey aż promieniała ze szczęścia.

– Po tym, jak ciebie wczoraj przyprowadził za łapę sam Sławny Przodek i jeszcze dziś rano przyleciał po ciebie, już nic mnie nie zdziwi. – uśmiechnęła się mama i wróciła do kuchni.

– Hm, no cóż, spróbujemy coś z tym zrobić. – ojciec skierował się do komputera, ciągle oglądając stary blok pamięci. – Ciekawe, ile lat temu takie produkowano?

– Tato, da się to podłączyć? – pisnęła żałośnie Stalsey.

– Tak, oczywiście… – mruknął ojciec w zamyśleniu. – Hej, cyber, choć no tu! Zadanie: połączyć ten blok pamięci z komputerem. Co to ma znaczyć: przestarzały interfejs? Gdyby nie był przestarzały, sam bym podłączył. Ten model go nie przyjmuje? A to co znowu? Uciekaj stąd! – I znowu do Stalsey, głaszcząc ją po głowie: – Będziemy musieli zwrócić się z tym do Norda. On na pewno sobie z tym poradzi.

– Wujek Nord przyleci do nas dzisiaj? – zapytała Stalsey z nadzieją w głosie.

– E-e-e – Ojciec znowu przewrócił oczami, chcąc połączyć się z bratem.– Nie, dziś nie, ale jutro raniutko zrobimy. A jeśli pójdziesz wcześniej spać, to i jutro nastąpi szybciej.

– Wszyscy myć łapy i do stołu. Kolacja gotowa. – rozległ się z kuchni głos mamy.

Stalsey zjadła kolację prawie bez apetytu. Dzisiaj wieczorem tak chciało się jej polatać, a tu jakieś problemy techniczne ośmieliły się jej przeszkodzić.

– Idź spać i nie przeżywaj – powiedziała mama i z uśmiechem liznęła małą smoczkę w nos.

Stalsey poszła do swojego pokoju, położyła się i nakryła skrzydłem. Trzeba tylko szybciej zasnąć żeby szybciej nastąpiło jutro. Łatwo powiedzieć, ale jak to zrobić? Liczyć. Raz, dwa… Trzydzieści. Dzisiaj był dzień tak pełen wrażeń…Nawet polatałam na Wielkim Smoku. Jeśli komuś opowiem, nie uwierzy, sama w to wierzę z trudem. I ta senso-latałka… Tak, nawet w „Wąwozie górskich duchów” mi się podobało. Latałam w wąwozie i wspominałam, jak dopiero co latałam ze Sławnym Przodkiem. Nie, poprawiła się, nie z nim, tylko na nim.

Parsknęła krótkim śmieszkiem. A sen zupełnie nie idzie. Trzeba liczyć inaczej. Pobiegła jedna owieczka, za nią pobiegła druga, trzecia nie zostaje w tyle, a czwarta rozpostarła skrzydła i przegoniła pierwsze trzy…

Stalsey otworzyła oczy. Za oknem był już wczesny letni dzień.

„Śniły mi się same latające owce” – pomyślała, rozkładając skrzydła i machając samymi ich koniuszkami. Przeciągnęła się z rozkoszą, przegięła się i przetoczyła na grzbiet, łapkami do góry. Położyła się wcześniej, więc i obudziła się wcześnie.

Z kuchni dochodzą czyjeś głosy. Mamy, ojca i… Hurra, wujek Nord przyszedł i zaraz, zaraz podłączy jej latałkę! Stalsey podskoczyła z radości i wpadła do kuchni jak kula.

– Dzień dobry, wujku Nord – zawołała, tańcząc przed nim.

– Dzień dobry, mała. – Uśmiechnął się Nord, śledząc piruety smoczki.

– Już podłączyłeś? Już? Już można?

– Jeszcze nie, dopiero co przyszedłem, ale zaraz postaram się spełnić twoje życzenie.

– Usiądź chociaż na chwilkę, ty skrzydlata wiercipięto – ojciec złapał Stalsey za ogon i przyciągnął ją do siebie. – Wujek Nord wszystko zrobi najlepiej. Wiesz przecież, że on najlepiej z naszej rodziny orientuje się w technice schematów i w metalowych mózgach komputerów. – I, zwracając się do Norda, kontynuował, podając mu blok: – Braciszku, to jest ta rzecz, o której ci mówiłem. Nawet cyber nie chce podłączyć jej do komputera.

– No tak, rzeczywiście stareńki blok. Skąd go wytrzasnęliście? – zdziwił się Nord.

– Ta ogoniasta przyniosła na ogonie od samego Mistrza – ojciec wskazał na Stalsey.

– Tak, to bardzo, bardzo stary blok. Pewnie pracował w czyimś komputerze jeszcze w czasach, kiedy rodziły się pierwsze smoki. – mówiąc to, wujek Nord skierował się w stronę domowego komputera. Stalsey sprostowała, dumnie wysuwając ku przodowi brzuszek:

– Nie w czyimś, tylko w komputerze samego Wielkiego Smoka.

– Co my tu mamy? Ta-a-ak… Na zewnątrz nie ma takiego wejścia. Nie szkodzi, umieścimy go w środku – mówiąc to, wujek Nord już zdejmował obudowę komputera.

– Zaraz? Już zaraz? – Stalsey znowu nie mogła znaleźć sobie miejsca.

– Tak, tak, już za pięć minut wszystko będzie gotowe. – zabuczał Nord, prawie dotykając nosem plątaniny przewodów i procesorów komputera.

– Córeczko, jeśli nie będziesz pętać się pod nosem wujka Norda, to on poradzi sobie jeszcze szybciej. – Uśmiechnął się ojciec, próbując odciągnąć za ogon Stalsey od komputera, gdyż smoczka była gotowa wsadzić swój malutki nosek między nos wujka a wnętrze urządzenia. – Idź na werandę odetchnąć świeżym powietrzem. Zawołamy cię, kiedy wszystko będzie gotowe– dokończył niby twardo, ale cały czas z uśmiechem.

– Potrzebny jest taki schemat połączenia… – wujek Nord instruował cybera, wykreślając coś na arkuszu papieru.

Stalsey, niechętnie i oglądając się co krok, wyszła na werandę.

„Tak, tak, ta-ak, polecę. Już niedługo, za chwilę, zaraz. Jak się okazuje, w senso też można otrzymać prawdziwe poczucie lotu, w każdym razie zupełnie jak prawdziwe Tylko włożę hełm sensowizora i zaraz polecę jak wczoraj” – myślała, zamknąwszy oczy i rozpostarłszy skrzydła. Po locie na grzbiecie Wielkiego Smoka z odczuwaniem w projekcji wszystkich uczuć, odczuwanych przez niego, naprawdę było z czym porównywać. Nie było tego ostrego kontrastu jak przy pierwszych lotach w senso, gdy skrzydła nie były już w stanie unieść ciała.

– Wszystko gotowe, zabieraj się do roboty – usłyszała zadowolony głos ojca.

Natychmiast pobiegła do komputera. Rzeczywiście wszystko było gotowe. Z korpusu do bloku pamięci z sensolatałką ciągnęły się jakieś przewody, a obok czekał na smoczkę hełm.

– Wszystko najlepszej jakości. – uśmiechał się zadowolony z siebie wujek Nord.

– Nie będziemy ci przeszkadzali – szepnął do ucha Stalsey ojciec i pociągnął brata do kuchni, gdzie mama kończyła robić śniadanie.

Niewiele myśląc, Stalsey padła na łóżko, włożyła czapeczkę hełmu, pokręciła się trochę, sadowiąc się jak najwygodniej i, podłączywszy się do komputera, wezwała „Wąwóz górskich duchów”. Jej pobudzony ogonek podniósł się w oczekiwaniu przewidywanego lotu. Minęła minuta, druga… Ogonek zaczął smętnie się opuszczać, Stalsey jeszcze chwilę posiedziała w oczekiwaniu, kiedy wreszcie przyjdzie to, co czuła tak niedawno, jeszcze wczoraj… Nie, wszystko było tak, jak podczas dwu pierwszych nieudanych seansów.

Czapeczka hełmu senso powolutku zjechała z głowy i spadła na podłogę. Stalsey nakryła się skrzydłami, wcisnęła głowę między łapki i jękmęła cichutko.

– Córeczko, dziewczynko moja, co się stało? – Na chlipanie pierwsza przybiegła mama.

– Nie-e-e dzia-a-ła… – Chlip, chlip.

– Jak to nie dzkiała? – Do pokoju wpadł wujek Nord i wetknął nos w komputerowe schematy, grzebiąc w przewodach – Wszystko połączyłem prawidłowo, musi prawidłowo pracować.

– Ale nikt nic dokładnie nie sprawdził, a już podsuwacie dziecku. – zamachała nerwowo skrzydłami Selina, tuląc w łapach Stalsey i próbując ją uspokoić.

– Cyber, sprawdzić działanie hełmu! – rozkazał ojciec.

– Hełm sprawdzony, hełm sprawny! – zaraportował po chwili cyber.

– No więc co się stało? – Wujek Nord usiadł na ogonie, nic nie rozumiejąc. – Wszystko sprawne, więc wszystko musi działać jak należy.

– Co tam jest nie tak, moja maleńka? – zapytała serdecznie mama.

– Nieprawdziwe, znowu nieprawdzi-i-iwe…. – płakała cicho smoczka.

– Co! – prawie równocześnie wykrzyknęły trzy dorosłe smoki.

– Loty… Zupełnie nieprawdziwe… Wczoraj było zupełnie ina-a-aczej… – Chlipnięcie.

– Uspokój się, moja malutka, zaraz oni jeszcze raz wszystko sprawdzą – Selina strzeliła oczami w stronę dwóch zakłopotanych zielonych smoków, drepczących koło komputera – i wszystko będzie dobrze.

W okularach mamy rozległ się sygnał wezwania.

– Selina słucha.

– Witajcie – zabrzmiał znajomy głos. – Wybaczcie, że bez zaproszenia, ale za jakąś minutę będę u was.

Rzeczywiście po niespełna minucie rozległ się dźwięk dzwonka. Berd otworzył drzwi i Wielki Smok wszedł do środka. Wymienił szybkie uściski łap z Berdem i Notdem, po czym zatrzymał się, patrząc ze zdumieniem na pociągającą nosem smoczkę, która z takim samym zdumieniem spojrzała na niego. Oboje wyglądali równie kiepsko: cała zapłakana Stalsey i zasypiający w ruchu, z czerwonymi z bezsenności oczami, Sławny Przodek. Stalsey wydawało się nawet, że Komandor zatacza się ze zmęczenia – ale może jej się to tylko wydawało przez jeszcze nie wyschnięte łzy. Od razu zrozumiał, co się stało i zaczął ją pocieszać:

**Szumił**

– Nie płacz, Stalsey. Nauki nie tworzy się z mokrym nosem.

–Ale…

– Spójrz na to z drugiej strony. Ciocia Ratana wczoraj mówiła, że te latałki wszystkim dzieciom się nie podobają, prawda?

– Tak.

– A tobie wczoraj ta latałka się podobała, nieprawdaż?

– Tak.

– To już coś. Teraz został już tylko ostatni krok. Jaki?

Stalsey wytężyła wszystkie zwoje mózgowe, ale nic sensownego nie przychodziło jej do głowy. Chociaż… Co to wczoraj mówił Komandor? O efekcie wizyty i o…

– Złapać casus za ogon?

– Jaki casus? – zdziwił się Wielki Smok.

– Nieznany nauce - odpowiedziała nieco zmieszana smoczka.

– A-a… Ja powiedziałbym to prościej: trzeba umocnić wczorajszy sukces. Pamiętasz, co wczoraj mówiłem? Najpierw sprawdzić jakość zapisu, potem aparatury. Zapis sprawdziliśmy. – Komandor spojrzał na otwarty komputer i skrzywił się. – Teraz sprawdzimy jakość aparatury. Weź swój hełm senso i idziemy tworzyć naukę.

Stalsey spojrzała z ukosa na swój ogonek. Z nowego punktu widzenia wszystko wydawało się już nie takie straszne, a spokojna pewność Komandora budziła optymizm. Odłączyła hełm od komputera, włożyła go do torby, torbę przyczepiła do pasa i powiedziała tylko:.

– Jestem gotowa.

– Poczekajcie, a śniadanie?! – wykrzyknęła mama.

Komandor zamarł wpół kroku, z uniesioną łapą, i w zamyśleniu, jakby coś obliczając, spojrzał z ukosa na sufit. Po pięciu sekundach ożył.

– Dobra myśl! Bardzo dobra, cenna myśl! – powiedział. – Czy nie znalazłoby się u was parę galonów dobrej, mocnej kawy? Coś dzisiaj jestem zmęczony…

**XI**

– Tu też się nie leci. – Stalsey ze smutkiem zdjęła z głowy hełm senso.

– Aha! – powiedział w zamyśleniu Wielki Smok. – Teraz włóż mój, stary.

Z zamierającymi z wrażenia serduszkami Stalsey włożyła stary hełm Komandora.

– Nie, nie pomogło - zakomunikowała po paru minutach. Nosek zdradziecko chlipnął.

– Ani trochę? – zmartwił się Komandor.

– Chlip, chlip – odpowiedział nosek.

– Więc co ustaliliśmy? Wylicz, a ja będę sprawdzać. Jak mówimy w desancie: kontrolować.

– Latałka nie dzia-ała…

– Tak całkiem nie działa? Machasz w niej skrzydłami?

– Macham.

– Czujesz opór powietrza?

– Czuję.

– No widzisz! Czyli działa, ale nie tak, jak należy. A wczoraj dobrze działała?

– Dobrze.

– No to trochę się zaplątaliśmy. Spróbujmy inaczej. Zapis wczoraj działał, dziś też, czyli nie jest winien. Senso wczoraj działało, dziś też, więc również nie jest winne. Co pozostaje?

– Efekt wizyty i nieznany nauce przypadek.

– To jedno i to samo. Stalsey, wiesz, czym twój organizm różni się od dorosłego?

– Długością.

– Lepiej byłoby powiedzieć: wielkością.. Zgadza się, ale to nie wszystko. On rośnie, zmienia się każdego dnia… Dzisiaj senso się zgadza, jutro nie… Nie, to bzdura. Ale co do zgodności… Zrobimy twój zapis i wtedy zgodność będzie pełna.

– A gdzie ja będę latała? Na Księżycu?

– Znacznie prościej. – Uśmiechnął się Komandor. – Na moim grzbiecie. Czekaj, niech tylko sobie przypomnę, kto u nas jest najlepszym specjalistą od montażu senso…

Komandor długo jeszcze mruczał coś pod nosem o przyszłym locie, a Stalsey nagle zobaczyła, jak podbiegły do nich z chichotem dwie ludzkie samiczki. Gdy jedna z nich bezceremonialnie pociągnęła Komandora za ogon, Stalsey aż szczęka opadła ze zdumienia. Komandor aż podskoczył, nagle wyrwany z zamyślenia.

– Siostrzyczki… A wy co tu robicie? – zdziwił się. Obie się roześmiały.

– Znowu coś robi się bez nas? A kto obiecał nas uprzedzać o wszystkich ważnych pracach?

– No, ta praca może jest nie tyle ważna, ile potrzebna i pożyteczna – odburknął Komandor.

– Innych nie masz. Znów przedsięwziąłeś coś w tajemnicy? – Jedna z nich udała obrazę.

– Żadnych tajemnic. Wszystko otwarte dla ogólnej uwagi i udziału.

Stalsey na wszelki wypadek schowała się za szerokim ciałem Komandora. „Jeśli one samego Wielkiego Smoka ciągną za ogon, to mój mogą zawiązać w supełek” – pomyślała z obawą.

– A któż to tam się chowa, taki malutki, zieloniutki i ogoniasty? – Jedna z dziewczyn zwróciła uwagę na wyglądającą zza pleców Komandora mordkę smoczki.

– Poznajcie się, to dzielna smoczka Stalsey. I nie obrażajcie jej, proszę. Stalsey, to Szko… – zaczął Komandor , ale nagle urwał.

– Mistrzu!!! – Tupnęła nogą jedna z dziewczyn.

– To Miri-one, a to Miri-two – poprawił się Komandor, bardzo zmieszany.

– Bardzo mi przyjemnie. – smoczka szurnęła łapką.

– Siostrzyczki, wasza pomoc też może się przydać – powiedział Komandor tonem jakby przepraszającym. – Stalsey, siostrzyczki należą do czołowej dziesiątki specjalistów oprogramowania komputerowego. Weźmiemy je do drużyny?

Stalsey bojaźliwie zadreptała w miejscu, przebierając łapkami.

– Miri, oni jeszcze myślą! – zawołała jedna z dziewczyn i pogłaskała Stalsey za uszkiem.

Przygotowania do lotu przeciągnęły się do późnego popołudnia. W jakiś sposób słuchy o tym, że Wielki Smok CZYMŚ się zajmuje, rozeszły się po całej Galaktyce. Co chwilę Stalsey czuła zero-t, a po paru minutach jakiś smok czy smoczyca proponowały swoją pomoc. W końcu Komandor polecił siostrzyczkom wywiesić w auli bazy tablicę informującą o rodzaju prac i wszystkich ciekawych tam kierować. A na godzinę przed lotem Stalsey zobaczyła coś nieprawdopodobnego: małe smoki w skafandrach i bez skrzydeł, choć szybko dowiedziała się, że to nie żadne smoki, tylko dinozaury, starzy przyjaciele Komandora, a ich „skafandry” okazały się po prostu codziennymi ubraniami, jak u ludzi.

Główny problem polegał na tym, że trzeba było przygotować hełm dla Stalsey, zapisujący tylko ją i nie reagujący na bio-promieniowanie Komandora. Dinozaur Bolan zaproponował jednak, żeby Komandora też zapisać, a potem odfiltrować jego udział z zapisu Stalsey.

I wreszcie Stalsey, zgodnie z tradycją, wyniosła z domu siodło, Komandor umocował je sobie na grzbiecie, do pasa przypiął pudło z aparaturą rejestrującą – i wzlecieli!

Na balkonie bazy zebrało się około sto smoków, które machały im łapami, gdy przelatywali blisko nich. A potem zaczęło się: wschodząca spirala, świeca, liść klonowy, korkociąg, znowu energiczne nabranie wysokości i akrobatyczna abrakadabra. Beczka w jedną stronę, beczka w drugą, przewrót przez skrzydło, martwa pętla, immelman… Stalsey aż zakręciło się w głowie.

– Trzymaj się mocno! – krzyczał do niej radośnie Komandor. – Ten piruet ja sam wymyśliłem! Nazwałem go „Koziołki z górki”.

I to rzeczywiście były koziołki! Stalsey nawet nie wiedziała, gdzie jest niebo, a gdzie ziemia, tak szybko się zamieniały miejscami.

Ale wszystko co dobre szybko się kończy. Skończył się i ten czarodziejski lot. Komandor poszedł opłukać się do basenu, a siostrzyczki i dinozaur Bolan usiedli przy komputerze opracowywać zapis lotu. Stalsey przez ten czas zjadła kolację.

A po godzinie znowu latała! I choć to był film senso, a nie latałka interaktywna, uczucie lotu było całkowicie prawdziwe! Latała najpierw w starym hełmie Komandora, potem w nowym swoim, potem poszli na bazę, gdzie latała, podłączywszy hełm do komputera sektora medycznego. To było cudowne! Ale Komandor robił się coraz bardziej ponury i zamyślony.

Wszyscy byli tak pochłonięci doświadczeniami, że zapomnieli zupełnie o upływie czasu i przypomnieli sobie dopiero, kiedy na bazę przybyła przerażona matka Stalsey. Smoczka od razu poczuła straszne zmęczenie, a Komandor do reszty się stropił.

– Wiesz, mała, mnie się coś wydaje, że jutro ten zapis nie będzie działał – szepnął do uszka Stalsey, przekazując zapis senso do komputera jej okularów.

– Dlaczego? – zdążyła jeszcze zapytać smoczka, zwijając się w kłębek w łapach matki.

– Serce-wieszcz mi podpowiada – niezrozumiale odpowiedział smok, ale Stalsey już go nie słyszała. Cichutko posapywała, śpiąc.

**Lapunow**

**XII**

Dźwięk budzika rozległ się bardzo nie w porę. Stalsey otworzyła jedno oko, potem drugie. Znowu ten cholerny budzik przerwał jej sen w kulminacyjnym momencie lotu! Rodziców już nie ma, jak zwykle pracują. Wydaje im się, że wszystko już się ułożyło – no bo jakże inaczej, jeśli wziął się do tego Wielki Smok? Wczoraj wieczorem zapisał nową latałkę wyłącznie dla niej i jej się podobała. Pomyśleli więc, że wszystko w porządku – i wyszli, zostawiając ten przeklęty budzik. Po co? Chyba dlatego, że już niedługo wakacje się skończą.

Budzik, przyciśnięty z góry łapą, wreszcie milknie. Zresztą, po co jej te loty w sennych marzeniach, jeśli teraz będzie mogła polatać i w senso? Spojrzała z obawą na hełm. A jeśli znowu nie wyjdzie? Włoży senso, załaduje latałkę i… Co to Komandor mówił wczoraj tuż przed jej zaśnięciem? Coś o senso… nie, o latałce. Może zaraz włożyć hełm i sprawdzić? Niedobre przeczucie powstrzymało ją. Dopóki nie włoży senso, może przypomnieć sobie wczorajsze wspaniałe loty. Najpierw ten na grzbiecie Wielkiego Smoka, a potem równie cudowny w senso – z nadzieją, że dzisiaj senso podaruje jej równie pełne poczucie lotu. A jeśli nie? Zostaną tylko wspomnienia i nadzieja na kolejne spotkanie ze Sławnym Przodkiem.

A może senso wczoraj nie zadziałało, gdyż rano latała z pustym żołądkiem? Trzeba to będzie poprawić i sprawdzić. Co jeszcze mówili o wadze? Im szybciej smok nabiera wagi, tym prędzej jego ciało podniosą biograwy. Jeśli wcześniej wypadało jeść jak najmniej, aby skrzydła nosiły jak najdłużej, to teraz trzeba jeść naprawdę regularnie, żeby szybciej nabrać wagi.

Smoczka stanęła na wadze. „Ależ ja jestem jeszcze lekka” – pomyślała ponuro. Ta-ak, a jeśli spróbować wykorzystać biograwy? U-u-u, waga ciała nie zmniejsza się nawet o jedną dziesiątą. Ależ powoli przybywa jej siły w biograwach!

– Cyber, śniadanie jak wczoraj… nie, lepiej jak przedwczoraj. Cyber, zrób no dzisiaj pojedyncze porcje dwu pierwszych dań z przedwczorajszego śniadania według przepisu mamy – trochę plącząc się wydała instrukcje cyberowi.

Szybko spożyła gorący posiłek, popity sokiem, i powróciła do komputera z leżącym obok senso. Jak najostrożniej włożyła hełm na głowę i umieściła w komputerze latałkę, zapisaną wczoraj koło willi Sławnego Przodka. Zapis poszedł… Jeszcze jesteśmy na ziemi. Podnosimy się... Lecimy. Przelatujemy obok balkonu bazy. Na balkonie stoją smoki, machają łapami. Zmieszanie skierowaną na jej maleńką osobę uwagą przelotnie dotyka myśli smoczki. Teraz powinne iść te różnorodne piruety, które wczoraj Komandor wykonywał w powietrzu, ale Stalsey już ściąga z głowy hełm. Dobrze zapamiętała te wszystkie piruety, ale równie dobrze zapamiętała i to, że wczoraj wieczorem ta latałka wyglądała i była odczuwana przez nią zupełnie inaczej. Wczoraj to były prawdziwe odczucia! A teraz? Teraz one w niczym nie wyglądają lepiej od filmów w okularach albo pływania w akwalungu. Skąd się biorą takie rażące zmiany? Wyjaśniło się, że to nie zależy od obecności czy braku sutego śniadania w żołądku. W takim razie od czego? Co takiego było w domu Wielkiego Smoka przed tym, jak latałka zadziałała jak należy, jak powinna działać zawsze? Zaczęła się zastanawiać:

„Teraz już wiem, jaki może być lot w hełmie senso, czułam go wczoraj. Ale coś ciągle przeszkadza. Na pewno nie zależy to od obecności lub nieobecności Komandora, gdyż wczoraj rano, gdy tylko przyszłam do niego, latałka była taka sama szara i ponura. Przyczyna musi być inna. Latałam na smoku, a potem włożyłam senso… Ale nie mogę przecież za każdym razem iść do Komandora w gości, żeby poczuć radość lotu w senso. A jeśli inne smoczki dowiedzą się, że senso ofiarowuje radość lotu tylko po obcowaniu ze Sławnym Przodkiem? Hm… Powstanie cała kolejka do willi, a Wielki Smok stanie się po prostu atrakcją. A może polatać na tacie czy mamie? Nie, oni nie potrafią latać tak wirtuozersko, zresztą ja w ogóle coś źle rozumuję. Przecież niektóre smoczki mogą jednak czasem czuć pełną przyjemność lotu. I lady Ratana mówiła, że jej się podobało, a dzisiejszym smoczkom nie. Może im także senso podoba się, ale nie zawsze? A może senso prawidłowo działa tylko wieczorem, a rano lepiej nie wkładać hełmu? Ale najpierw sprawdzimy pierwszą myśl, jaka przyszła do głowy. Która była pierwsza? Aha, ta, że senso dobrze działa po locie”.

Stalsey spojrzała z ukosa na szafę. Czy taki skok wystarczy? Sprawdzimy.

Szybko wdrapała się na górę i, tak jak kilka dni temu, skoczyła, szeroko rozkładając skrzydła. Jej łapy odrywają się od szafy, skrzydła z furkotem zagarniają powietrze, próbując powstrzymać spadanie. Kolejna nieśmiała próba wykorzystania biograwów praktycznie nie opóźniła „bum”, dobrze jeszcze, że udało się wylądować na cztery łapy. Ta-ak, a teraz szybciutko do komputera, senso na głowę, załadować latałkę i…

Nic! Stalsey zdjęła hełm z głowy. Znowu nic się nie zmieniło. Może nie wystarczy kilka sekund! Może trzeba latać dłużej? Można to zrobić w sali na Księżycu, ale czy to pomoże?

Z komputera doszedł sygnał wezwania. Nikogo nie ma, będzie więc musiała odebrać sama.

– Stalsey słucha.

– Witaj, mała – rozległ się głos Komandora. Smoczka aż podskoczyła.

– Dzień dobry. A w domu nikogo nie ma… oprócz mnie – poprawiła się z przejęciem.

– Wiem, wiem, rozmawiałem już z twoją mamą.

– I, wie pan, ta senso-latałka… ona znowu… – Stalsey ze wszystkich sił próbowała powstrzymać przekazanie brzmieniem głosu przepełniających ją ponurych myśli.

– I to wiem, a raczej przypuszczałem – równie smutno powiedział Komandor. – Ale to nas nie powstrzyma, prawda?

– Nie powstrzyma – niepewnie odparła Stalsey, a Komandor dodał jakby na wpół do siebie:

– A ile maluchów czeka na pozytywne wyniki naszych doświadczeń?

– No, mała, hajże do nas! – włączył się do rozmowy czyjś dźwięczny głos.

– Siostrzyczki, siostrzyczki, ciszej, sam ją chciałem ją zaprosić do nas – zabrzmiał zmieszany głos Komandora. I do smoczki: – No, Stalsey, co planujemy na dzisiaj?

– Polecimy?! – niepewnie, ale z nadzieją w głosie, zapytała Stalsey.

– Zgadza się – mruknął zadowolony Komandor. – Trafisz do nas sama czy mam wysłać siostrzyczki, żeby cię zaprowadziły? Czym ty je tak oczarowałaś? Są zupełnie inne niż zwykle. Aha, możesz nie brać hełmu, gdyż już wyjaśniliśmy, że szkopuł nie tkwi w nim.

– Nie, ja sama, znam drogę, zaraz będę. – Smoczka nie mogła już usiedzieć na miejscu.

– Dobrze. Czekamy. Koniec łączności – zahuczał bas Komandora.

– Czekamy! – zdążyły jeszcze wstawić siostrzyczki.

Stalsey pędem wybiegła z domu i na złamanie karku pomknęła do kabiny zero-t. Wpadając do niej uderzyła się mocno w ramię o ścianę, ale jej paluszki już zgrabnie wybierały wyuczony i teraz jakże znajomy kod bazy obok wilii Wielkiego Smoka. Hopla! – i już była w bazie.

Koło zero-t czekały na nią siostrzyczki.

– A oto i nasz królik!

– Gdzie? – Stalsey skuliła ogonek, podniosła tylną łapkę i rozejrzała się ze strachem.

– Królik – to ty! – wyjaśniły wesoło siostrzyczki.

Złapały ją z obu stron za łapki i chichocząc, potaszczyły ją do windy. Z taką eskortą Stalsey doszła do willi Komandora, gdzie na progu czekał już na nią gospodarz.

**Szumił**

Mijały dni, zamieniały się w tygodnie, a tajemnica ciągle pozostawała nierozwiązana. Jeden i ten sam zapis to przekazywał wspaniałe, z niczym nieporównywalne uczucie lotu, to stawał się szarą i mizerną machaniną skrzydłami. Wakacje Stalsey się skończyły, teraz mogła spędzać u Komandora tylko pół każdego dnia, ale niczego nie żałowała. Stała się swoją w domu Wielkiego Smoka, poznała wszystkie pierworodne smoki, co wieczór latała na Sławnym Przodku i nawet do lady Berty nie zwracała się inaczej niż „ciociu Węgielek”.

Komandor stawał się coraz bardziej zamyślony. Mawiał:

– Faza gromadzenia danych zbliża się do końca. Pora byłoby znaleźć jakąś prawidłowość.

Ale właśnie tej prawidłowości w żaden sposób nie dawało się ustalić. Latałka przeważnie działała w domu Komandora, ale nie zawsze. Częściej działała w obecności Komandora. Wystarczyło, żeby oddalił się o sto metrów, a już efekt przepadał i ponownie pojawiał się przy jego zbliżaniu się. Czasem jednak działała nawet, jeśli Komandor oddalał się przez zero-t aż do sąsiedniej galaktyki. Stalsey prowadziła szczegółowy dziennik, w którym zapisywała wszystkie przypadki działania i niedziałania latałki oraz towarzyszące okoliczności. Potem Komandor godzinami siedział nad jej dziennikiem, rysował tabele, wykresy… Obie ludzkie dziewczyny, Miri-one i Miri-two też kłóciły się nad tablicami, często aż klnąc. Nazywały Komandora papą, choć Stalsey nie wiedziała, dlaczego.

– Odrzućmy wszystkie przypadki, gdy papa był obok – przekonywała Miri-two.

– A czemuż to? – obraził się smok.

–Ty katalizujesz. To dowiedzione! Tu, tu i tu! – Miri-two szturchała tabelę palcem.

– Logiczne – przyznał smok i Miri-two energicznie wykreśliła z tabeli dwie trzecie kolumn.

– Co widzimy? – spytała. Stalsey wstała na dwie łapki, by widzieć nad głowami dziewczyn.

– Widzimy, że latałka działa ZAWSZE po locie Stalsey na papie. – zauważyła Miri-one

– Ale są trzy przypadki, kiedy Stalsey na papie nie latała – zaprzeczyła Miri-two.

– To błąd eksperymentu! Szum informacyjny!

– Trzy na osiem – to ma być błąd eksperymentu?!

– Siostrzyczki, sza! Będzie myślał Czapajew. – Komandor pogłaskał obie po główkach.

– Miri, a kto to jest Czapajew? – zapytała szeptem Stalsey Miri-two.

– Jakiś człowiek. Ulubiony bohater anegdot papy – odpowiedziała za nią Miri-one.

Komandor dłuższą chwilę maszerował na dwóch łapach po gabinecie, lewą przednią trzymając za plecami, a prawą pocierając podbródek. Nieoczekiwanie ogłosił:

– Koniec na dziś! Stalsey, jutro z samego rana do mnie! Proces wstępuje w decydującą fazę!

– Tato, mamy jeszcze dwie godziny. Niech proces wstąpi w decydującą fazę dzisiaj!

– Dzisiaj nie można! Dzisiaj materiał nie jest gotowy.

– Gotowy. Gotowy na wszystko – zaprzeczyła nieśmiało Stalsey, ale Smok machnął łapą:

– Niegotowy, niegotowy. Dzisiaj latałka będzie działała. A dla jutrzejszego doświadczenia ważne jest, żeby właśnie nie działała.

– Będzie działała, mówisz? – zmrużyła oczy Miri-one. – Chodź ze mną, mała!

Stalsey nieśmiało spojrzała na Komandora, ten skinął głową i uśmiechnął się. Miri-one już ciągnęła smoczkę za łapkę do kabiny zero-t. Po kwadransie obie powróciły rozpromienione.

– Działa! Rzeczywiście działa! Jaki jest następny krok?

– Rozkazać latałce, żeby działała wtedy, kiedy tego nie chce.

– Ojcze, czyżbyś już wszystko wiedział?

– Na razie tylko przeanalizowałem statystykę. Mam hipotezę i jutro ją sprawdzimy.

**Lapunow**

**XIII**

Stalsey wyskoczyła z łóżka bardzo wcześnie, byle co przekąsiła i podbiegła do komputera sprawdzić latałkę. Zgodnie z przewidywaniami Komandora latałka nie działała – jak zwykle rano w domu smoczki, która przez trzy tygodnie już do tego przywykła. Popiła trochę kompotu, włożyła swój hełm senso do kieszonki i pomknęła do kabiny zero-t. Chciała jaj najszybciej poznać wyniki dociekań Komandora. Może dziś materiał będzie gotowy, jeśli nie był gotowy wczoraj? Wychodząc z zero-t, z opóźnieniem przypomniała sobie o różnicy w czasie.

„Wielki Smok na pewno jeszcze śpi, a ja wpadam tak wcześnie. Dobrze, że sobie teraz przypomniałam, bo byłoby bardzo kiepsko, gdybym go obudziła” – pomyślała i poszła jasno oświetlonymi korytarzami na balkon bazy. Niebo było jasne i pełne gwiazd, tylko na wschodzie widać było pierwsze zwiastuny świtu. Na dole koło wilii Stalsey zobaczyła jakiś ruch, ale to pewnie tylko jej się wydało. Smoczka stała na samym skraju balkonu, rozkoszując się delikatnymi powiewami chłodnego nocnego wietrzyka.

Nagle z tyłu usłyszała dźwięczny tupocik dwu par ludzkich nóżek. Natychmiast się odwróciła. Przed nią już stały siostrzyczki we własnych osobach, uśmiechnięte od ucha do ucha.

– Miri, popatrz no, któż to tutaj tak skromniutko stoi. – Zadowolona ze swojej spostrzegawczości parsknęła śmieszkiem jedna z nich, trącając łokciem drugą.

– Właśnie, któż to tak podgląda dom z góry? – zawtórowała druga zadowolona twarzyczka.

– Nie podglądam, tylko czekam, kiedy nastąpi ranek – odrzekła niezbyt pewnie Stalsey.

– Coś ty, no oczywiście, że nie – konstatowały siostrzyczki, usiadłszy na balustradzie.

Stalsey ciągle z trudem rozróżniała Miri-one i Miri-two. Nie dość, że wyglądały jednakowo, to jeszcze starały się tak samo ubierać. A teraz, w mroku poranka, to już zupełnie nie można było ich rozróżnić. Jeśli czymś się różniły, to tylko w rozmowie. A jak Komandor potrafi je rozróżnić na pierwszy rzut oka, Stalsey zupełnie nie rozumiała.

– Wiesz co, może zejdziemy na dół, do domu – zaproponowała jedna z siostrzyczek.

– I obudzimy tego śpiocha – dodała druga ochoczo.

– Coście wy, coście wy, przecież to nie wypada – niepewnie zaprzeczyła Stalsey, ale dawno już zrozumiała, że jeśli siostrzyczki coś sobie nabiją do głów, to nikt je nie przekona, a już na pewno nie ona. Nawet Komandor się z nimi nie spierał, zresztą on rzadko z kimś się spierał. Może nawet w ogóle z nikim się nie spierał?

Spróbowała sobie przypomnieć jakiś spór Wielkiego Smoka z kimkolwiek, ale nie mogła. A Miriameczki już śpieszyły po korytarzu, przyzywająco machając rękami.

– No więc co my tu mamy na dzisiaj? – zapytał Komandor, bardzo zadowolony z siebie.

– Co? – powtórzyła Stalsey, patrząc na niego z nadzieją.

– To, że latałka ani razu nie zadziałała u ciebie w domu rano albo w dzień, tylko z rzadka wieczorem.

– Tak – Smoczka ciężko westchnęła.

– Tak, tak – powtórzyły siostrzyczki.

– Wynik negatywny to też wynik – powiedział wieloznacznie Komandor, unosząc palec.

Stalsey spojrzała w górę, gdzie wskazywał palec Wielkiego Smoka. Komandor powiódł wzrokiem za spojrzeniem smoczki, uśmiechnął się i postawił łapę z powrotem na podłodze.

– Miri, a ty nie pamiętasz, jak ktoś zielony, łuskowaty i z długim ogonem mówił coś o decydującej fazie, która ma nastąpić dzisiaj? – zwróciła się z uśmiechem Miri-one do Miri-two i obie wieloznacznie spojrzały na Komandora.

– Będzie, będzie decydująca faza – odrzekł z całą pewnością siebie Komandor. – Mam teorię i zaraz ją sprawdzimy. Gotuj się do lotu – zwrócił się do Stalsey, ale gdy smoczka od razu rzuciła się do leżącego w kącie siodła, powstrzymał ją: – Stój, stój, nie tak! Dla sprawdzenia mojej teorii będziesz dzisiaj musiała sama trochę pomachać skrzydełkami.

– Ja-ak to sama? – kompletnie zaskoczona Stalsey aż usiadła na ogonie.

– No, no, czyżby to dla ciebie była aż taka nowość? – Uśmiechnął się Komandor – Jakież to my znamy miejsce, gdzie skrzydła jeszcze podniosą twoje ruchliwe ciałko w powietrze?

– W bazie na Księżycu? – zapytała z zakłopotaniem smoczka po chwili namysłu.

– Zgadza się. Zaraz tam się wybierzemy – odrzekł spokojnie Komandor. – Weźcie wszystko, co niezbędne – dodał, zwracając się do siostrzyczek.

– Oczywiście. – Obie się uśmiechnęły. – My nigdy niczego nie zapominamy.

– Więc naprzód! – Komandor z całą powagą wyruszył pierwszy.

I cała procesja godnie skierowała się do kabiny zero-t. Gdy przybyli na Księżyc, Komandor skierował ich nie do sali, tylko do jednego z pustych pokoi odpoczynku. Tam rozsiadł się wygodnie naprzeciw łóżka, na którym posadził smoczkę, i powiedział:

– Wkładaj hełm, zaraz puścimy latałkę.

Miriameczki wyprosiły na parę minut okulary Komandora i już krzątały się przy hełmie senso, starając się podłączyć go do okularów przez pudełeczko interfejsu.

– Miri, czy nie można było wziąć ze sobą jakiegoś przenośnego komputera? Mówiłyście przecież, że niczego nigdy nie zapominacie – burczał z niezadowoleniem Komandor.

– I nie zapominamy – odpowiedziały siostrzyczki. – Po co brać jeszcze jeden komputer, jeśli wiadomo, że masz go w okularach? – zachichotały. Komandor nieco się nastroszył.

– Ale gdyby tam nie było zapisanej latałki, ktoś z nas musiałby po nią wrócić. – zauważył.

– Nie. – Śmiały się siostrzyczki. – My to już wiemy, co i gdzie leży w twoich okularach.

– Zgadza się – westchnął smok.

„Jednak on też czasami się spiera... w każdym razie próbuje spierać się z siostrzyczkami” – pomyślała Stalsey. – Ale siostrzyczki i tak z nim wygrały”.

Miriameczki wreszcie poradziły sobie z zadaniem i Miri-one podała smoczce podłączony do okularów hełm senso. Stalsey włożyła go i załadowała do niego latałkę. Po pół minucie hełm już jest zdjęty, a zakłopotane oczka małej smoczycy patrzą pytająco na Komandora.

– Nic? – zapytał Wielki Smok.

– Jak zwykle – odpowiedziała ponuro smoczka. – A powinno było się udać?

– W żadnym wypadku. Ale doświadczenie musi być absolutnie czyste. Dlatego musieliśmy wszystko sprawdzić jeszcze raz i przekonać się, że nie działa.

– A kiedy zadziała? – zapytała smoczka. Komandor odpowiedział, pocierając łapą szyję:

– Dzisiaj. Dzisiaj obowiązkowo musi zadziałać, i to bez żadnych lotów na moim grzbiecie.

Stalsey poczuła lekkie zmieszanie i spuściła oczy.

– A teraz naprzód, do sali, latać! – powiedział pewnie Komandor, podnosząc ją z łóżka i stawiając na podłodze. – Ja tam nie mogę się pokazać, bo przerwę zajęcia całej dzieciarni.

W sali w zasięgu wzroku widać było tylko dwoje wychowawców i może z dziesięcioro smocząt, rówieśników Stalsey. Nieco starsze smoczki zabawiały się same.

– Zrób okrążenie sali. Nie, lepiej dwa – poradził Komandor, łącząc się z okularami Stalsey.

– Jakież może być okrążenie w tak długiej i wąskiej sali? – znowu parsknęły śmiechem siostrzyczki, zadowolone ze swojej spostrzegawczości.

– A? No tak, dwa razy tam i z powrotem. – Widać było, że Komandor myśli o czym innym.

Odbiwszy się wszystkimi czterema łapami, Stalsey poleciała przez salę, stopniowo nabierając wysokości. Po co ma tu latać? Czy to może w czymś pomóc? Co takiego wymyślił Wielki Smok? Cóż, on nic nie robi tak po prostu. Opracował jakąś teorię jeszcze wczoraj, a teraz sprawdza. Czyżby senso mogło zadziałać po tych lotach? To byłoby zbyt nieprawdopodobne.

Machnięcie, kolejne machnięcie. Półmrok końca sali już się zbliża. Stalsey zrobiła ostry wiraż parę metrów od ściany sali. Dziesięciokilometrową salę przelatuje się w trzy-cztery mi-nuty, a jeśli się nie śpieszy, można to przeciągnąć nawet do dziesięciu. Stalsey śpieszyła się. Chciała jak najszybciej poznać rezultat, usłyszeć, co takiego wymyślił Komandor. Widać już siostrzyczki. Stalsey cicho wylądowała koło nich.

– Drugie okrążenie. Tato kazał przelecieć dwa razy – nalegały siostrzyczki.

Nie ma rady, Stalsey wzleciała i niechętnie przefrunęła od końca do końca jeszcze raz.

– Chodźmy szybciej. – Siostrzyczki zaciągnęły smoczkę za łapy do pokoju odpoczynku.

Czekał tam na nich Komandor, coś uważnie studiując przez okulary. Gdy Stalsey i siostrzyczki wpadły do pokoju, szybko zdjął okulary i położył je na łóżku. Miri-one znowu podłączyła je do hełmu senso, po czym obie siostrzyczki w oczekiwaniu na wynik rozsiadły się na skraju łóżka i położyły twarzyczki na złączonych dłoniach.

– No to zaraz sprawdźmy – powiedział w zamyśleniu Komandor.

– Sprawdźmy, sprawdźmy – powtórzyły siostrzyczki, chcąc dodać Stalsey otuchy.

Smoczka nie kazała długo się prosić. Wskoczyła na łóżko, dobrze znanym ruchem włożyła hełm senso i zamarła w oczekiwaniu początku latałki.

Po minucie znowu ściągnęła senso i rzuciła je na łóżko.

– Znowu nie wyszło? – Komandor spojrzał w smętne oczy smoczki.

– Znowu. – Skinęła głową przygnębiona Stalsey.

– Mało latałaś – skonstatował Wielki Smok, drapiąc się w tył głowy. – Musisz latać więcej.

– Ile?

– No-o-o. – Komandor obliczał coś w myśli. – Co najmniej godzinę.

– Całą godzinę mam tu latać?! – wykrzyknęła Stalsey.

– Właśnie tak. Tak trzeba. Uwierz mi, malutka – powiedział pieszczotliwie Komandor, głaszcząc smoczkę skrzydłem po głowie.

Stalsey zmieszała się. Wierzyła Wielkiemu Smokowi bezwarunkowo, ale całą godzinę?... „On stara się dla mnie i dla wszystkich dzieci, a ja…” – przekonała siebie do reszty`.

– Dobrze, polatam ile trzeba – odrzekła i znów poszła do sali. Siostrzyczki pobiegły za nią, a Komandor został, znowu pogrążony głęboko w swoich rozmyślaniach.

Silne machnięcie rozpostartymi skrzydłami – i ponownie ciało jest w powietrzu. Zadanie do wykonania: nie przelecieć dwa okrążenia, lecz po prostu polatać z godzinkę, a godzina potrwa godzinę i ani minuty krócej, więc Stalsey może bez pośpiechu lecieć i lecieć..

– Witaj – usłyszała głos i zaraz poczuła lekkie uderzenie skrzydłem w ogon. – Wodzisz.

– Co takiego? – Zaskoczona smoczka wygięła szyję, żeby zobaczyć, kto tam jest, ale zobaczyła tylko czyjś cień, szybko przelatujący nad nią.

– Goń mnie-e-e! – usłyszała oddalający się krzyk.

Skręciła ostro w powietrzu prawie pod kątem prostym i poleciała w poprzek sali za oddalającym się cieniem. Przy samej ścianie cień skręcił i poleciał wzdłuż sali. Stalsey powtórzyła manewr, wytężając siły, aby nie pozostać w tyle. A cień dał nura prosto w sztuczny deszczyk.

„Nie, nie uciekniesz mi, choćbym miała cała przemoknąć” – postanowiła Stalsey i jej zielone ciało wpadło w strugi. Deszcz utrudniał machanie skrzydłami – swoisty trenażer mięśni.

„Po co wlatywałam w ten deszcz, trzeba było go oblecieć i spotkać tego… kim by on nie był, przy wylocie” – przyszła nieco spóźniona myśl. Smoczka skręciła w lewo, wyleciała z deszczu i poleciała wzdłuż jego krawędzi, susząc łuski w potokach powietrza. „Szybciej, szybciej na drugi koniec deszczu, póki on tam jeszcze jest” – poganiała siebie. Deszczyk się skończył – i równocześnie z niego wyleciało czarne ciało – nie żaden cień, tylko smoczek, chyba nieco starszy od niej. Ujrzawszy przed sobą zieloną smoczkę, na chwilę nawet jakby się zmieszał, ale zaraz wykonał nieprawdopodobny piruet, przelatując pod jej brzuchem.

– Wziąłem i oddałem! – zawołał wesoło, dwa razy dotykając jej ogonka. –Wodzisz dalej!

– Ktoś ty? – krzyknęła Stalsey,rzucając się w pogoń za uciekającym czarnym ogonkiem.

– Ja? Remus! Remi! – usłyszała radosny oddalający się krzyk. – A ty kto?

– A ja Stalsey! A ja zaraz ciebie jeszcze jak dogonię! – zawołała smoczka, ledwie łapiąc oddech od szybkiego lotu.

– Więc mnie goń! – smoczek zamachał skrzydełkami jeszcze mocniej.

– To nic, i tak nie polecisz dalej, niż na koniec sali – odpowiedziała wesoło Stalsey i również zamachała ze wszystkich sił.

Doleciawszy do końca, Remi nie zaczął zawracać, jak tego oczekiwała Stalsey, tylko skręcił i dalej leciał prawie dotykając ściany, w półmroku niemal zlewając się z własnym cieniem. Stalsey też skręciła dwieście metrów od ściany i poleciała równolegle do niej, szybko nabierając wysokości, aż znalazła się tuż pod samą kopułą i z góry zobaczyła, jak Remi, doleciawszy prawie do rogu długiej, ale niezbyt szerokiej sali, zawrócił. Zaczął oglądać się coraz częściej, aż wreszcie, nie widząc prześladowczyni, zawisnął nieruchomo. Stalsey tylko na to czekała. Jak błyskawica spadła z góry na zdezorientowanego smoczka i, przelatując koło niego, trzepnęła go po ogonku. Z zaskoczenia ogonek czarnego smoczka aż przylgnął do brzuszka, przez co Remi stracił równowagę i przekoziołkował przez głowę.

„W tym jest coś znajomego” – pomyślała Stalsey, uśmiechając się do siebie.

– Teraz ty goń! – zawołała, uciekając przed koziołkującym w powietrzu czarnym ciałkiem.

I tak latali z jednego końca sali na drugi, perfekcyjnie chowając się przed „spaleniem” to w deszczyku, to przelatując przez fontannę, a raz nawet Remi prosto z powietrza zanurkował do basenu i po chwili wyleciał z wody pionowo w górę, czym bardzo zdziwił Stalsey. Wreszcie, zupełnie wyczerpani, wylądowali obok fontanny, ciężko sapiąc po dopiero co zakończonym powietrznym berku.

– Zwinna jesteś – pochwalił Remi.

– Ty też latasz bardzo szybko – uśmiechnęła się w odpowiedzi Stalsey.

– Często tutaj bywam, a ciebie jeszcze nie widziałem.

– Bo ja bywam tutaj rzadko.

– Nowa? Nie martw się, wszyscy to przechodzimy. A przez te trzy lata można polatać tutaj.

– Bez nieba? W tym kisielu? Przy księżycowej grawitacji? Ty to nazywasz lotem?

– Ale teraz latanie ze mną ci się podobało. Nie możesz zaprzeczyć.

– Tak, z tobą było miło. – Stalsey znów uśmiechnęła się, wspominając powietrzny berek.

– Babci Elanie było o wiele trudniej Ale ona wytrzymała i my też wytrzymamy.

– A co z nią było? – Stalsey nie słyszała o kimś takim.

– A prawda, to rodzinna tajemnica. Ale wierz mi, to była piekielnie długa i trudna próba.

– Wierzę. – Stalsey skinęła głową. – Wytrzymamy. No ale czas już na mnie.

– Już? Gdzie się tak śpieszysz? Moglibyśmy jeszcze polatać.

– Mam swoje sprawy, które muszę zakończyć – mówiąc to, Stalsey dumnie wypięła brzuszek, po czym nieoczekiwanie polizała Remiego w nos i ostro wzleciała.

– Zobaczymy się jeszcze? – zawołał za nią czarny smoczek.

– Możliwe, możliwe – odpowiedziała z uśmiechem Stalsey

Przeleciała całą salę i wylądowała obok przyzywająco machających rękami siostrzyczek.

– Minęła już godzina? – zapytała z nadzieją.

– Minęła, minęła. Nawet półtorej. – Obie uśmiechnęły się, prowadząc ją do Komandora.

– No to przystąpmy do decydującej fazy doświadczenia. – oznajmił donośnie Komandor.

– Teraz się uda? – zapytała niepewnie smoczka.

– Zobaczymy. – wieloznacznie odpowiedział Komandor z uśmiechem.

Miri-two podała hełm podnieconej smoczce. Stalsey wzięła go ostrożnie, pokręciła w łapkach i niepewnie włożyła na głowę. Powolutku rozpłaszczyła się na łóżku, zamknęła oczy i załadowała senso-latałkę. Minęła minuta, druga… Łapki smoczki poruszyły się, skrzydła zaczęły podrygiwać, na mordce pojawił się uśmiech szczęścia. Komandor i Miriameczki cierpliwie czekali, stojąc obok. Wreszcie po pół godzinie Stalsey ostrożnie zdjęła z głowy hełm.

– Działa, działa! Latałka działa! – z zachwytem powtarzała, ciągle jeszcze nie mogąc w to uwierzyć. Po twarzy Komandora błądził uśmiech zadowolenia.

– No i? Jakie wnioski? – Siostrzyczki chciały je poznać równie niecierpliwie, jak Stalsey.

– Materiał jeszcze nie gotowy. Cierpliwości, maluchy. – to odnosiło się i do Stalsey, i do siostrzyczek. – Następne doświadczenie jutro, przy normalnej grawitacji – dodał Komandor z chytrym uśmiechem. – A teraz, jak myślę, wszyscy trochę się pokrzepimy – i do domów.

**Szumił**

**XIV**

– Jesteśmy na miejscu – powiedział na drugi dzień Komandor, wychodząc z zero-t.

Stalsey spojrzała na wielką halę sportową i ze zdumieniem odwróciła się do niego.

– Co ja mam tu robić?

– Biegać.

– Jak?

– Myślę, że w podskokach.

Węgielek, która weszła za Stalsey, parsknęła śmiechem i zasłoniła pysk końcem skrzydła.

– Będziemy zapisywać? – zapytała z nadzieją Stalsey.

– Nie… Nie teraz. Później. Teraz masz po prostu biegać i machać skrzydłami, jakbyś miała zamiar wzlecieć. Tylko nie udawaj, machaj uczciwie. No to biegniemy!

Komandor ruszył naprzód, i Stalsey nie pozostało nic innego, jak tylko podążyć za nim.

– Machaj skrzydełkami! – zawołała z tyłu Węgielek.

Stalsey przeszła z kłusu na galop, robiąc po trzy machnięcia skrzydłami na każdy skok. Komandor obejrzał się i zwolnił. Nawet biegnąc o czymś rozmyślał, Stalsey nie wiedziała o czym, ale czuła, że to mu się bardzo nie podoba. Węgielek wyprzedziła ją i teraz śmiała się i wygłupiała: to dwa skoki na lewych łapach, potem dwa na prawych, to rozwijała skrzydła, unosiła się o pół metra i udawała, że biega w powietrzu. Stalsey rzetelnie machała skrzydłami.

„Biegać z pierworodnymi smokami – to jest coś” – rozmyślała – „ale zrozumcie mnie właściwie. Mam dopiero pięć lat i nie mam takich łapsk, jak wy. Padnę na długo przed metą i nawet nie dowiem się, czym się to wszystko skończyło. A siostrzyczki postawią mi pomnik – obiecały, więc niech dotrzymają słowa. Tylko niech mnie nie nazywają Puszystym Królikiem. Wolałabym już, żeby mnie przezwały zieloną żabką”. Wyobraziła sobie swój pomnik z pozieleniałego od upływu czasu brązu z napisem: PUSZYSTY KRÓLIK STALSEY.

– Kto za ciebie będzie machał skrzydłami? – usłyszała groźny krzyk Miri-one lub Miri-two.

Rzeczywiście, zamyśliła się tak, że zapomniała o skrzydłach. Rozejrzała się i zobaczyła, że Miri-two zgrabnie balansuje na ogonie Komandora, a Miri-one biegnie z boku długimi krokami, machając przy tym rękami jak skrzydłami. Kiedy one się tutaj zjawiły?

Miri-two straciła równowagę, zapiszczała i zawisła na ogonie Komandora, Komandor wygiął ogon jak atakujący skorpion, dziewczyna zjechała mu na grzbiet i roześmiała się.

– Uf-puf! Uf-puf! – Komandor sapał jak starożytny parowóz z senso-filmów.

Stalsey nagle poczuła, że złapała drugi oddech.

– Jeszcze jedno okrążenie? – zapytała Węgielek.

– Jeszcze! – wykrzyknęła nieoczekiwanie dla samej siebie Stalsey.

Pod koniec drugiego okrążenia nawet lady Węgielek nieco się zziajała, obie siostrzyczki jechały na plecach Komandora, a ze Stalsey dosłownie buchała para. Ale wytrzymała! Oba serduszka waliły jak młoty, ale przepełniała je duma. Komandor zabuczał:

– Koniec! Meta! My idziemy do basenu, a siostrzyczki szykują aparaturę.

– Wetknąć wtyczkę do gniazdka, a potem przewód do urządzenia. To nie zajmie nawet minuty – zawołała Miri-one, zjeżdżając z grzbietu Komandora.

Po drodze do basenu Stalsey trochę złapała oddech. Zanurzyć się do zimnej zielonkawej wody było bardzo przyjemnie, a potem strumienie gorącego powietrza wysuszyły łuski w dwie minuty. Stalsey już chciała zapiąć pasek z kieszonkami, ale Komandor ją powstrzymał:

– Nie zakładaj. Czujniki muszą ściśle przylegać.

„Znowu badanie” – domyśliła się smoczka.

Siostrzyczki przyniosły coś w rodzaju derki albo koca z wychodzącym z jednego rogu przewodem, narzuciły to Stalsey na grzbiet, po czym długo wygładzały, obserwując ekran komputera – i ciągle były niezadowolone.

– Tato, tak my guzik zapiszemy. Potrzebna jest pasta.

– No cóż, jak trzeba, to trzeba. – Komandor rozłożył łapy. – Przynieś ją, Węgielku.

Szyja, grzbiet i ogon Stalsey zostały wysmarowane jakąś białą, gęstą, lepką masą. „Koc” przylepił się do niej, siostrzyczki spojrzały na ekran i były bardzo zadowolone.

– Można zaczynać zapis. Tato, znikaj. Ty dajesz tło, zakłócasz.

– Odchodzę, odchodzę, odchodzę – powtórzył Komandor i wyszedł.

Siostrzyczki nie wiadomo dlaczego zachichotały.

– A co ja mam robić? – pisnęła Stalsey.

– Ofiara nauki ma spokojnie leżeć na ołtarzu!

Na wszelki wypadek Stalsey się rozejrzała. Ciocia Węgielek była obok.

– W porządku – zakomunikowała Miri-two po dziesięciu minutach. – Druga faza! Sprawdzamy latałkę.

Stalsey nieśmiało włożyła hełm i zamknęła oczy. Miri-two puściła zapis.

Poczucie lotu było pełne! Prawdziwe szybowanie w błękitnym niebie, prawdziwe sprężyste powietrze, prawdziwe obłoki, prawdziwa trawa i drzewa gdzieś głęboko w dole…

– Udało się! – wykrzyknęła radośnie smoczka.

– No i bardzo dobrze – odpowiedziała Miri-one, wyłączając zapis. – Ale dość już tego dobrego. Chodź szybciej do wanny, dopóki pasta nie przyschła.

Pasta jednak zdążyła przyschnąć.”Koc” z czujnikami z trudem oderwano, po czym smoki i siostrzyczki długo szorowały grzbiet Stalsey szmatkami ze spirytusem. Białawy nalot jednak pozostał, ale Komandor promieniał radością, więc wszyscy byli w znakomitym nastroju.

– Jutro decydujące doświadczenie! – zakomunikował. – Tylko przed nim nie biegaj i nie skacz, Stalsey. Przed doświadczeniem latałka nie powinna działać.

I oto nastąpił ten dzień. Jakimś cudem smoki znowu wyniuchały, że będzie coś ważnego, i zleciały się na bazę. Nawet matka Stalsey dowiedziała się o tym od koleżanki i odprowadziła córkę do willi Wielkiego Smoka. Do środka jednak nie weszła, tylko liznęła ją w nos i wzleciała na placyk nad willą, gdzie zgromadziło się chyba ze trzysta smoków. Gdy Stalsey opowiedziała o tym Komandorowi, ten zawołał:

– Ucieczka! Ucieczka informacji! – i spojrzał surowo na siostrzyczki. Te z początku twierdziły, że nie mają z tym nic wspólnego, ale gdy zagroził, że zapyta smoki, poczerwieniały. On jednak uśmiechnął się, pogłaskał je po plecach i powiedział: – No to zaczynamy. Najpierw doświadczenie kontrolne. Zwykła latałka dzisiaj nie powinna działać.

Stalsey westchnęła i włożyła na głowę hełm senso. Komandor puścił latałkę.

– Nie działa! – zameldowała Stalsey po pięciu minutach, tym razem z radością oczekiwania.

– A teraz – nowa – powiedział. Siostrzyczki przyniosły coś w rodzaju płaszcza z kapturem.

– Oj, znowu grzbiet smarować pastą?! – przeraziła się Stalsey.

– Obejdzie się! – odpowiedział z dumą Komandor. – Tu są przyssawki próżniowe.

Stalsey włożyła na głowę kaptur-hełm, siostrzyczki podłączyły kabel do komputera i wygładziły na jej grzbiecie fałdy niezwykłego płaszcza. Tkanina była nieco ciężkawa, kleiła się do łusek, trochę łaskotała i w ogóle była dość nieprzyjemna.

– Lecimy! – zakomenderowała Miri-two i puściła latałkę.

Stalsey stała na wierzchu samotnej skały, sterczącej jak palec pośrodku wąwozu o starych, zwietrzałych ścianach. Gdzieś daleko w dole srebrzyła się rzeka. Powiew wiatru pieszczotliwie połaskotał błonkę skrzydła. Stalsey roześmiała się i skoczyła, rozpościerając skrzydła. Sprężyste powietrze uderzyło ją po oczach i wypełniło błonki. Tak spokojnie szybować, nie zagarniając powietrza z całych sił, dawno już mogła tylko we śnie.

Płynnie lawirując to w prawo, to w lewo, smoczka poszybowała nad rzeczkę, lądując w niej tuż przy brzegu.. Woda była czysta, przeźroczysta i bardzo zimna, a po skosztowaniu okazała się także słodka i gazowana jak lemoniada. Stalsey zachichotała i wzleciała w górę, gdzie wysoko w niebie krążył orzeł. Machała skrzydłami ze wszystkich sił, ale zupełnie nie czuła zmęczenia. Wspaniały, swobodny, baśniowy lot…

Orzeł okazał się nieprawdziwy. Szybował z szeroko rozpostartymi skrzydłami, a na jego lotkach błyszczały zielone napisy: Burza. Huragan. Tajfun. Ulewa. Sztil. Na drugim skrzydle: Rano. Dzień. Wieczór. Noc. Zima. Wiosna. Lato. Jesień. Na ogonie: Berek**.** Pogoń I. Pogoń II. Powietrzna Walka. Chowany. Sztafeta. Pocztylion. Łapanie Karaluchów[[1]](#footnote-2)**.** Menu 2. Stalsey uśmiechnęła się i pociągnęła za pióro z napisem Powietrzna Walka.

– A tu figa! – odezwał się orzeł głosem Komandora. – Myślisz, że w ciągu miesiąca można zaprogramować wszystkie gry? Spróbuj wybrać inną.

Stalsey wybrała Pocztyliona. Orzeł włożył pazurzastą łapę gdzieś pod pióra na piersi, wyjął wielką zapieczętowaną kopertę i podał Stalsey. Na kopercie był napis: „Do Myszki-Noreczki od Miriam. Do łapek własnych” i plan wąwozu, na którym domek Myszki oznaczony był kółkiem ze strzałką. Stalsey rozejrzała się, schowała kopertę pod pachą i podążyła w kierunku domku Myszki. Znalazła go od razu, był bardzo mały, ale poza tym stanowił dokładną kopię willi Komandora. Na drzwiach wisiała mała karteczka: „Poszła do Żabki-Rechotki”. Stalsey rozejrzała się, zakłopotana. Niedaleko zielona jaszczurka przekopywała mały ogródek.

– Jaszczurko, wiesz może, gdzie mieszka Żabka-Rechotka? – zapytała Stalsey.

– Ssama-s jesteś-ś jaszszczurką-s. Ja-s jesstem-s Ssekondyjsski-s Norik-s. Gdzie-s mieszszka-s Żabka-s nie wiem-s, ale-s wiem-s, gdzie-s mieszszka-s Kikimora-s Błotna-s. A ona-s już-s powinna-s wiedzieć-s, gdzie-s mieszszka-s Żabka-s.

– Przepraszam, Noriku. A gdzie znaleźć Kikimorę?

– Patrzcie-s ją-s, ale-s szszybka-s! Pomóż-s mi-s ogród-s podlać-s, a-s potem-s powiem-s.

Stalsey zrozumiała, że dostarczenie poczty jako kurier to wcale nie jest taka prosta sprawa. Najpierw będzie musiała wypełnić dużo zadań, poznać wiele osób, przeżyć masę przygód…

– Jaszczurko, Jaszczurko, powiedz mi, czy sekondyjskie noriki są smaczne?

– Złe-s pytanie-s! Klient-s chce-s wykonać-s niedosstępną-s operację-s! – wykrzyknął Norik i zwinnie zarył się w ziemię.

Stalsey roześmiała się i rozpieczętowała kopertę. List został napisany niezrozumiałymi zawijasami, tylko u dołu był dopisek: „List napisany w mysim języku. Zna go Tchórzliwy Kojot” i podpis: Miri-two. Uśmiechnęła się, zwinęła list w rurkę, wsunęła go w bramkę mysiego domku i wzleciała. Niczego innego nie oczekiwała od Miri-two. Rozegranie całej gry byłoby bardzo ciekawe, ale dzisiaj ona tylko przeprowadza próbę. Smoki czekają. Innym razem.

– No i jak?? – zapytał Komandor.

– Świetnie! Cudownie! Wspaniale! Wszystko jak prawdziwe, a nawet jeszcze lepsze!

– Hurra-a!!! – zawołały siostrzyczki. – Podrzucać papę!

Stalsey spojrzała z ukosa na płaszcz-derkę na grzbiecie i ostrożnie odłączyła kabel od komputera. Płaszcz od razu zjechał na podłogę. Komandor w zamyśleniu potarł podbródek.

– Trzeba będzie co najmniej dwunastu typowych rozmiarów dla smoczków w różnych stadiach wieku przejściowego plus dwa dla dorosłych i cztery dla najmłodszych smoczków.

– Po co? – zdziwiły się siostrzyczki.

– To może usunąć wiele problemów na stacjach kosmicznych i badawczych. Ale główny problem nie na tym polega… – Komandor znowu na długo się zamyślił. Siostrzyczki spojrzały na siebie, zachichotały i, pomagając sobie wzajemnie, wdrapały się na jego grzbiet.

– Stalsey, chodź do nas!

– E-e? E-e-e? A wy dokąd? – zdziwił się smok, odwracając szyję o 180 stopni.

– Zapomniał! Miri, on zapomniał! Tam, gdzie na nas czekają triumfujące masy!

– Rzeczywiście! – Smok palnął się łapą w czoło. – Przecież rozpaplałyście to po całym Wszechświecie!

Chwycił Stalsey pod pachy, posadził ją sobie u dołu szyi, włożył w jej łapki senso-płaszcz i skoczył prosto w okno. Stalsey pisnęła ze strachu i zacisnęła na szyi tylne łapki, a siostrzyczki zaczęły wesoło krzyczeć. W ostatniej chwili połówki okna błyskawicznie rozjechały się na boki, a smok, wyskoczywszy, rozwinął skrzydła i szeroką spiralą zaczął się wznosić. Siostrzyczki radośnie wołały coś niezrozumiałego, a smoki, jeden po drugim, zrywały się ze skały i ustawiały się za Komandorem w klin. Sławny Przodek wzbił się bardzo wysoko, zatoczył wielkie koło i zaczął się zniżać, aż wylądował na równym placyku pod balkonem bazy. Zdjął z grzbietu Stalsey i pomógł zejść siostrzyczkom, po czym zwrócił się do tłumu:

– Jesteście dorosłymi, poważnymi smokami, a uwierzyłyście dwóm wiercipiętom, że dzieje się tu coś niezwykłego? O wszystkim, co niezwykłe należy dowiadywać się z wieczornych wiadomości, nieprawdaż?

W tym momencie Stalsey zobaczyła w tylnych rzędach rodziców.

– Mamo, papo, on pracuje! – wykrzyknęła, stojąc na tylnych łapkach i wymachując senso-płaszczem nad głową. Smoki odpowiedziały chóralnym rykiem.

– Oto jak powstają legendy i tanie sensacje! – westchnął Komandor, ale nikt go nie usłyszał.

**E P I L O G**

– Proszę jeszcze trochę kawy, jeśli łaska - Komandor znowu siedział u rodziców Stalsey, opowiadając o wydarzeniu i jego kulisach.

– Proszę, proszę. – Selina odsunęła cybera i sama nalała kawy do „filiżanki” Komandora.

– Dziękuję. Na czym to ja skończyłem? Słyszeliście o głodzie sensorowym? To straszna rzecz. Mózgowi brakuje informacji, i to jest nawet gorsze od głodu fizycznego. Obok szesnastu półkul mózgowych smoki mają także bardzo dużą, w porównaniu z innymi gatunkami, objętość móżdżka, u dorosłych waży on około pięciu kilogramów. Móżdżek niezbędny jest do lotu, ściślej, do kierowania biograwami. U nielatających smoczków móżdżek czuje stały głód sensorowy i właśnie to organizm odbiera jako ciąg do lotów. Zwykłe senso-latałki nie pracowały właśnie dlatego, że przez hełmy senso odbierały je tylko mózgi w głowie. Wystarczyło dodać induktory senso dla móżdżka, który my mamy u podstawy szyi – i problem rozwiązany. Ale! – Komandor podniósł palec, wpatrzył się w sufit i długo myślał głęboko. – Ale jest także drugie rozwiązanie problemu, nad którym myślę od kilku dni. Godzina gimnastyki skrzydeł – i już móżdżek jest nasycony i zwykłe latałki stwarzają pełne wrażenie lotu. Pewnie niektóre smoczki jednak trochę więcej machały skrzydłami niż przy skokach z szaf – Komandor puścił oko do Stalsey – i dlatego latałki im się podobały. Rozważcie, co jest korzystniejsze dla młodych smoczków: godzina gimnastyki dziennie i stare latałki, czy nowe, nie wymagające żadnego wysiłku. Zdrowie czy lenistwo?

– Czyli miesiąc stracony na próżno? – zmartwiła się Stalsey. Jej głosik się załamał, w oczach same z siebie pojawiły się łzy.

– Jak to: na próżno? Jak to: na próżno? – obraził się Komandor. – A metodyka? Bez ciebie nie wpadłbym na żadną z metod. Jutro znów wejdziesz na szafę czy co? – Stalsey ze strachem spojrzała na rodziców i podkuliła ogonek. Komandor bardzo się zmieszał i dokończył szybko: – Już jutro wszystkie smoki od maluchów do dorosłych będą wiedziały, jak prawidłowo wykorzystywać senso-hełmy. A nowe wrażenia? A nowi przyjaciele? Nie chciałabyś jako pierwsza zakomunikować pewnemu czarnemu zawadiace o naszym odkryciu? Mam jego adres.

– On nie jest żadnym zawadiaką! A jak pan dowiedział się o szafie?

– Zadrapania. – Uśmiechnął się Komandor. – Kiedy Węgielek dorastała, u nas w domu też wszystkie meble były w takich samych zadrapaniach. No, ale to już historia…

1. Komputerowa wersja popularnej rosyjskiej gry planszowej, zwanej tam Kukaraczą. [↑](#footnote-ref-2)